płomyczek

DWUTYGODNIK DLA DZIECI | 16—31 · VII · 1985 | 14

Fot. Ryszard Kreyser

Dzień dobry z uśmiechem

Rys. Zdzisław Byczek

— Żeby mu nie było przykro, pływam tylko „pieskiem".

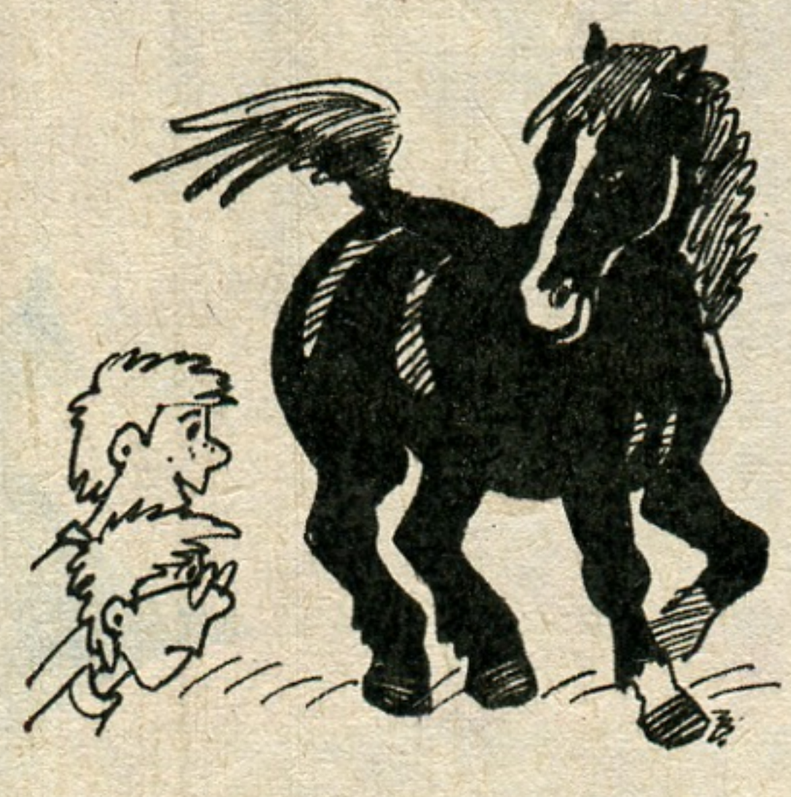

— Jak myślisz, ile on może mieć koni mechanicznych?

— Z otwartymi dziobami jesteście bardziej fotogeniczne.

• A TO CIEKAWE! • A TO CIEKAWE! • A TO CIEKAWE! • A TO CIEKAWE! • A TO CIEKAWE! •

PODZIEMNE przejście dla żółwi zbudowano pod ruchliwą autostradą w pobliżu miasta Perth w Australii. Powolne żółwie mogą teraz bezpiecznie wędrować swoim utartym szlakiem do pobliskiego zbiornika wodnego.

W tunelu dla wygody żółwich użytkowników zainstalowano oświetlenie, ponieważ żółwie, bojąc się ciemności, chowają głowę pod pancerz.

●

PUYA RAIMONDI, to nazwa najwyższego zioła na świecie. Jest krewniaczką ananasa i rośnie w Ameryce Południowej w górach Andach. Puya należy do roślin długowiecznych. Kwitnie dopiero po upływie 150 lat, ale za to kwiatów ma niemało, bo aż około 8 tysięcy. Kwiaty te więdną zaraz po rozkwitnięciu. Indianie przyrządzają z nich potrawy.

●

GDYBY obecnie odkryto Amerykę, dowiedzielibyśmy się o tym wydarzeniu tego samego dnia z radia, telewizji lub prasy.

Ale przed pięciuset laty nie była to sprawa prosta. Wiadomość o odkryciu Ameryki dotarła do Polski po 14 latach — w 1506 roku.

MATERIAŁY wełniane z fabryk włókienniczych w Bielsku są doskonałe i przez wiele lat były eksportowane do różnych krajów. Bielsko to najstarszy w Polsce ośrodek przemysłu tkackiego, jaki powstał tam w XIII wieku i od początku słynął z wyrobu najlepszej jakości sukna. Aby uchronić bielskie wyroby przed konkurencją innych miast, wyrabiających sukno gorszego gatunku — w XVI wieku książę Wacław Adam, Piast cieszyński, nadał tkaczom bielskim przywilej, pozwalający im znakować swoje wyroby literami BS — czyli bielskie sukno.

●

PAPIER, na którym można pisać na maszynie bez użycia taśmy, to coś niebywałego. Farba zawarta jest w samym papierze i ujawnia się pod uderzeniem czcionki.

Ten osobliwy papier ma jeszcze jedną zaletę — można na nim pisać długopisem bez tuszu lub nie zatemperowanym ołówkiem.

●

NAJSTARSZY most na świecie znajduje się w Turcji. Zbudowano go około 850 roku p.n.e., tzn. blisko 2850 lat temu.

Nasza okładka:

22 Lipca — Święto Odrodzenia Polski

ŻYCZENIA

By dzień każdy,
co się rodzi jak pisklę,
frunął do słońca i śpiewał...
By sad każdy
rodził zdrowe owoce,
a burze omijały drzewa...

Tego życzymy rodzinnym wsiom...

By dom każdy,
co wyrasta ku niebu,
świecił źrenicami okien,
by gołębie
zasypiały spokojnie
w załomach wież pod obłokiem...

Tego życzymy rodzinnym miastom...

By każdy dzień
na słonecznych zegarach
odliczał swoje godziny,
by noc każda
pogodnymi gwiazdami
lśniła nad nami, gdy śpimy...

Tego życzymy Ci, Polsko...

Tadeusz Kubiak

Fot. Jan Popłoński

JAKI ZNAK TWÓJ?

Biało-czerwony sztandar i Orzeł Biały na czerwonym polu są znakami przez stulecia związanymi z dziejami narodu i państwa polskiego.

Historia Orła Białego wiąże się z legendą o tym, jak książę Lech i jego bracia szukali ziemi, gdzie mogliby się osiedlić. Kiedy zatrzymali się na leśnej polanie, nad jeziorem Gopłem, dostrzegli gniazdo orła i wielkiego białego ptaka krążącego ponad drzewami.

— Tu się zatrzymam — powiedział Lech — a na pamiątkę tego spotkania ród mój będzie miał w herbie białego orła.

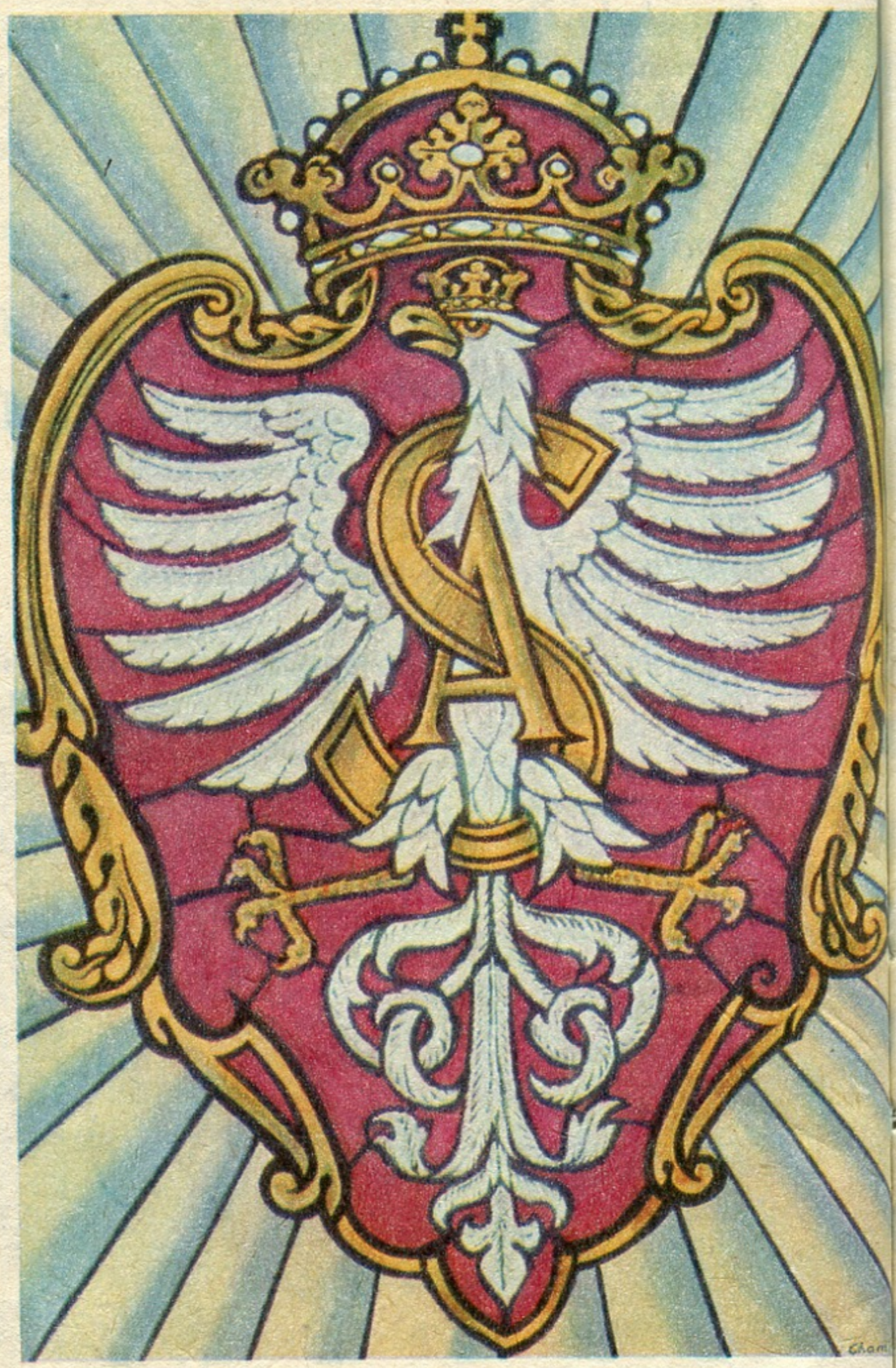

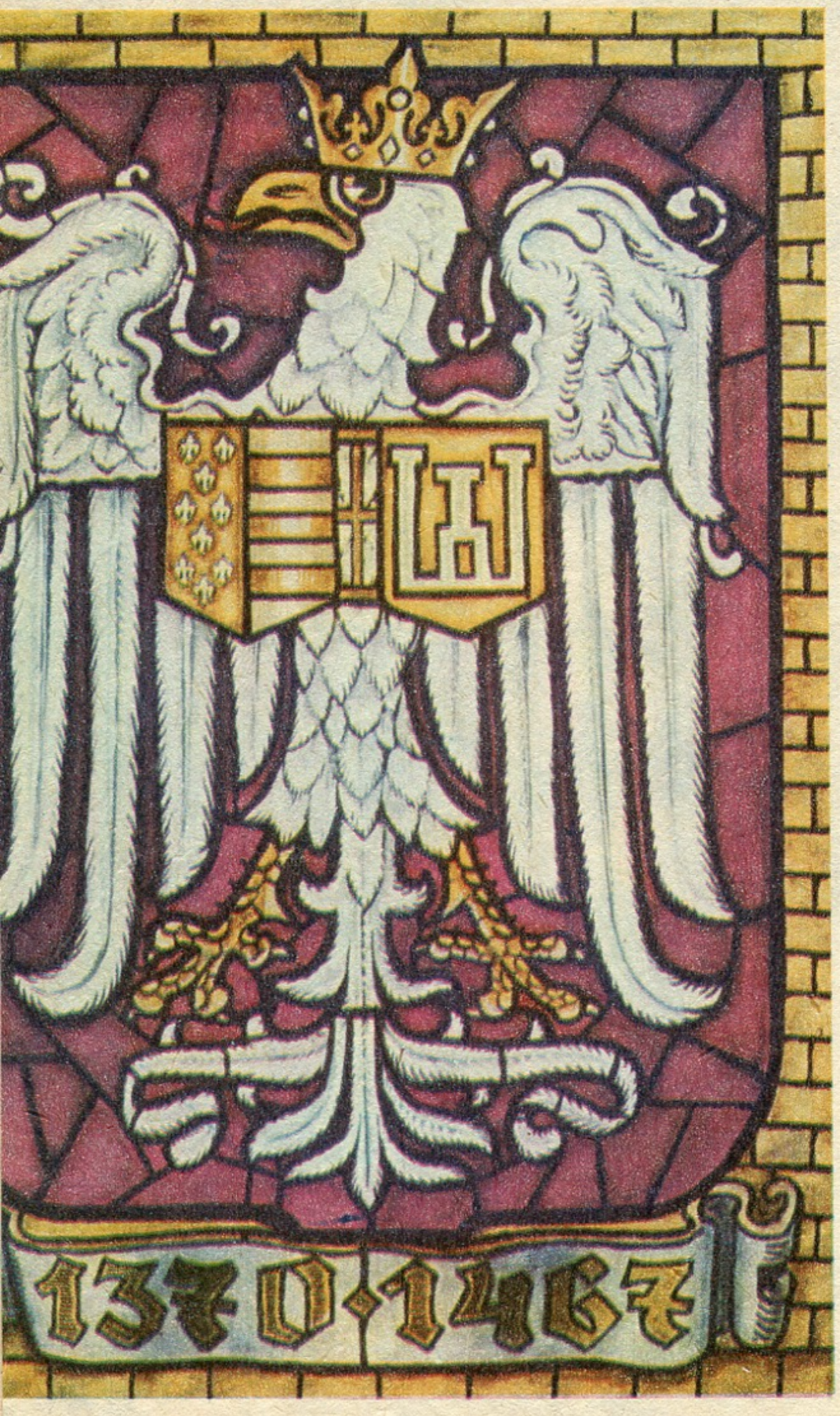

Tak mówi legenda. Naprawdę jednak trudno dokładnie powiedzieć, kiedy i dlaczego orzeł stał się naszym znakiem narodowym. Wiadomo natomiast, gdyż potwierdzają to wykopaliska, że pierwszy raz znak ptaka przypominającego orła umieszczony został na monecie Bolesława Chrobrego.

Podczas panowania Władysława Łokietka oraz jego syna, Kazimierza Wielkiego, orzeł w postaci zbliżonej do obecnej umieszczany był nie tylko na monetach, ale również na pieczęciach królewskich. W tym też czasie

Orzeł Biały na czerwonym tle pojawił się na chorągwi królewskiej i stał się godłem państwowym Polski.

Płynęły lata, zmieniali się królowie, zmieniał się też kształt orła — jego skrzydeł, szponów, dzioba, ogona, zmieniano też kształt tarczy. Coraz częściej umieszczano znak orła na chorągwiach i sztandarach, na których powiewał w dniach ważnych w życiu narodu polskiego.

W XIX wieku, po upadku powstania listopadowego, władze carskie zakazały używać Orła Białego jako godła państwowego. Umieszczano go jednak zawsze na sztandarach oddziałów polskich walczących na ziemiach obcych.

Kiedy Polska w listopadzie 1918 roku odzyskała niepodległość, Orzeł Biały znów stał się godłem odrodzonej Rzeczypospolitej.

W 1939 roku wojska hitlerowskie wtargnęły na ziemie polskie. Podczas kilkuletniej okupacji za posiadanie

biało-czerwonej flagi lub orła groziło więzienie. A jednak ludzie nie ulękli się gróźb i znaki te przechowywali jak największą świętość. Polscy żołnierze pod sztandarami ze znakiem Orła Białego walczyli na wszystkich frontach, na wschodzie i zachodzie, na morzach i w powietrzu, w leśnej partyzantce i w Powstaniu Warszawskim.

Po zakończeniu drugiej wojny światowej Orzeł Biały jako znak państwowy pojawił się znowu na sztandarach, pieczęciach, na monetach i na budynkach urzędowych. Noszą go też sportowcy reprezentujący nasze państwo.

Spośród różnych kształtów orła z różnych wieków wybrano wizerunek orła bez korony.

Z książki Stanisława Aleksandrzaka pt. „Kalejdoskop Ojczysty", która ukaże się nakładem I. W. „Nasza Księgarnia"

Witraże z orłami projektował prof. Witold Chomicz z Krakowa

Ciąg dalszy przygód Gelsomina w Kraju Kłamczuchów

Gelsomino obejrzał się i zobaczył kotka, a właściwie jakieś stworzenie, które z daleka mogło uchodzić za kotka. Było całe czerwone, stało tylko na trzech nogach i, co najdziwniejsze, był to tylko kontur kota, coś w rodzaju figury, jakie dzieciarnia rysuje na ścianach.

— Umiesz mówić? — zapytał szeptem Gelsomino.

— Oczywiście, nie jestem takim zupełnie zwyczajnym kotem. Umiem na przykład czytać i pisać. Ale to jest zupełnie naturalne, przecież moja mama to szkolna kreda.

— Kto, kto?

— Narysowała mnie na ścianie jedna dziewczynka, która zabrała ze szkoły kawałek kredy. Ale zdążyła mi zrobić tylko trzy łapki, kiedy zza rogu ukazał się policjant i dziewczynka musiała uciekać. Ponieważ jestem kulawy, postanowiłem, że będę się nazywał Zoppino, czyli Kulasek. Oprócz tego trochę kaszlę, dlatego że ściana była nieco wilgotna, a ja musiałem spędzić na niej całą zimę. (...) — I tutaj Zoppino, który przebywszy tyle czasu na swojej ścianie, widział niemało ciekawych rzeczy, dokładnie opowiedział Gelsominowi,

JAK POWSTAŁ KRAJ KŁAMCZUCHÓW.

— Przed wielu laty zjawił się w tym kraju sprytny i odważny pirat imieniem Giacomone, czyli „wielki Giacomo". Giacomone był tak wysoki i gruby, że nosił to ciężkie imię bez żadnego wysiłku, ale był już niemłody i przemyśliwał nad tym, jakby w spokoju spędzić starość.

„Młodość minęła i włóczęga po morzach już mnie nie nęci — mówił do siebie. — Rzucę swoje zajęcie i osiedlę się na jakiejś wysepce. Ale nie zapomnę również o dawnych przyjaciołach-piratach, mianuję ich szambelanami, admirałami i generałami, aby nie narzekali na swojego wodza".

Jak powiedział, tak zrobił. Zaczął poszukiwać odpowiedniej wyspy, ale wszystkie dla niego były trochę za małe. A jeżeli wyspa odpowiadała samemu wodzowi piratów, to nie podobała się któremuś z jego bandy. Jeden pirat koniecznie chciał mieć w pobliżu rzekę, żeby mógł w niej łowić pstrągi, drugi pragnął, żeby na wyspie było kino, trzeci nie mógł się obejść bez banku, gdzie mógłby otrzymywać procenty od pirackich oszczędności.

— Dlaczego nie mielibyśmy poszukać czegoś lepszego niż wyspa? — powiedzieli piraci.

Sprawa skończyła się w ten sposób, że zajęli cały kraj, w którym było wielkie miasto z bankami i teatrami, i około dziesięciu rzeczek, gdzie można było łowić pstrągi i pływać w niedzielę łódką. W tym wszystkim nie było nic nadzwyczajnego: zdarza się, że jakaś piracka banda zagarnie ten albo inny mały kraj.

Zawładnąwszy państwem, Giacomone pomyślał o zmianach: siebie kazał nazywać — „Król Giacomone Pierwszy", a swoim zaufanym nadał tytuły admirałów, szambelanów i naczelników straży pożarnej.

Ma się rozumieć, że Giacomone natychmiast wydał zarządzenie, w którym polecił tytułować się „Wasza Królewska Wysokość", a tym, którzy go nie posłuchali, miano ucinać język. Ażeby zaś nikomu nawet nie przyszło na myśl mówić o nim prawdę, nakazał swoim ministrom sporządzić nowy słownik.

— Trzeba pozamieniać wszystkie słowa — tłumaczył. — Na przykład słowo „pirat" będzie znaczyć „uczciwy człowiek". Jeżeli ktokolwiek nazwie mnie piratem, to po prostu powie w nowym języku, że jestem uczciwy chłop.

— Przysięgamy na wszystkie wieloryby, które były świadkami naszych zwycięstw — wykrzyknęli w zachwycie ministrowie — wspaniały pomysł! Po prostu można by go oprawić w ramki i powiesić na ścianie!

— A więc zrozumieliście — powiedział Giacomone. — Idziemy zatem dalej: zmienicie nazwy wszystkich rzeczy, imiona ludzi i zwierząt. Na początek niech ludzie, zamiast mówić „dzień dobry", życzą sobie „dobrej nocy". W ten sposób moi wierni poddani będą każdy swój dzień zaczynać od kłamstwa. No, i, rozumie się, trzeba będzie, aby idąc spać, jeden drugiemu życzył dobrego apetytu...

— Znakomicie! — zawołał któryś z ministrów. — Przecież ażeby komukolwiek rzec: „Jak pan ślicznie wygląda!", trzeba będzie powiedzieć: „Cóż za gęba! Tylko bić i patrzeć, czy równo puchnie!"

Kiedy wydrukowano nowy słownik i ogłoszono „Prawo o obowiązującym kłamstwie", zaczął się nieprawdopodobny zamęt.

W pierwszych dniach ludzie ciągle się mylili. Szli na przykład po chleb do piekarza, zapomniawszy, że piekarz sprzedaje teraz zeszyty i ołówki, a chleb należy kupować w sklepie z materiałami piśmiennymi, albo przychodzili do parku, spoglądali na kwiaty i wzdychali:

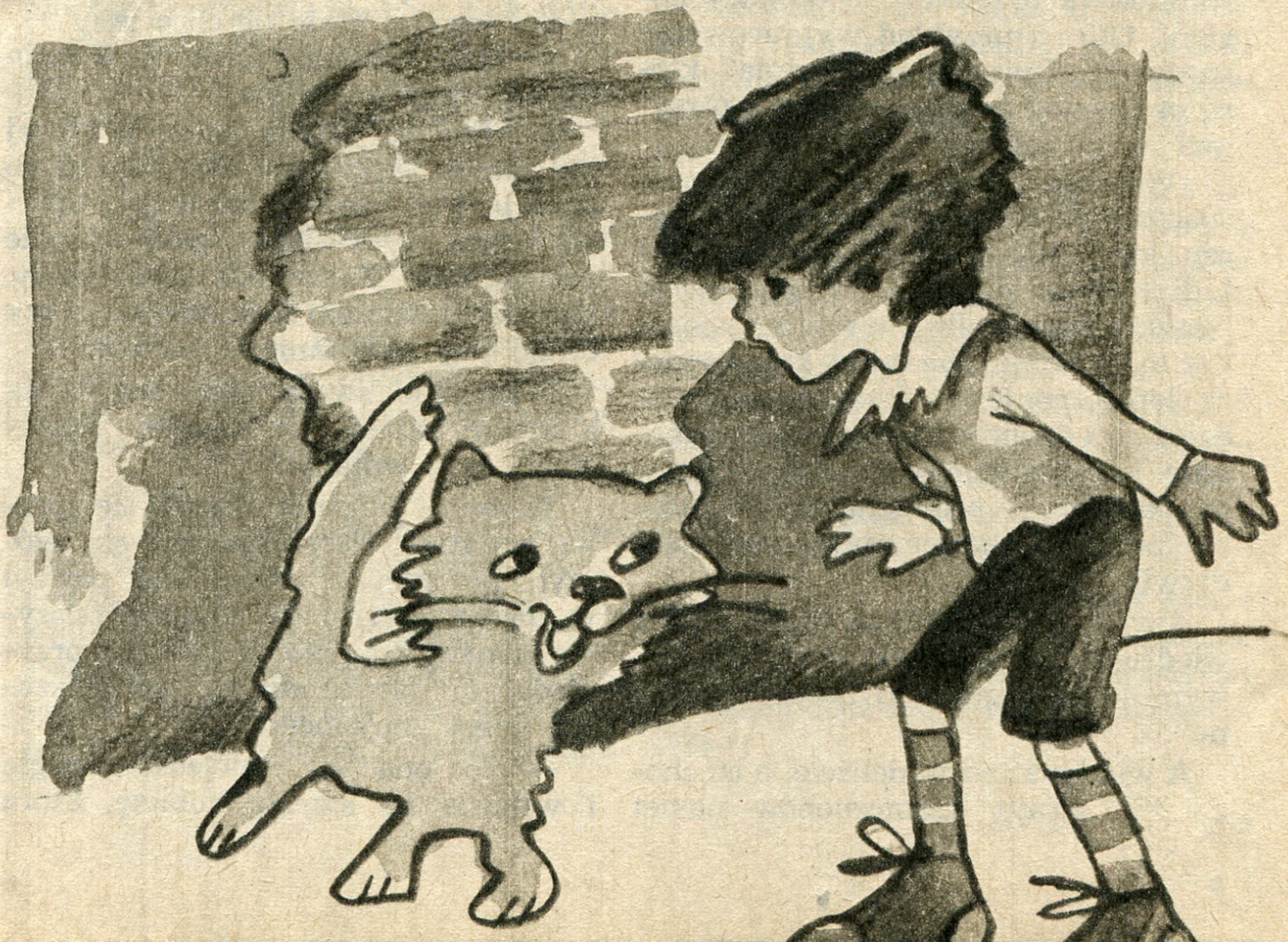

— Jakie śliczne róże!

Wtedy wyskakiwał zza krzaka szpieg króla Giacomone trzymając przygotowane kajdanki.

— A, winszuję panu, pan naruszył prawo! Jak mogło przyjść panu do głowy, żeby marchew nazywać różą?

— Proszę mi wybaczyć — mamrotał zmieszany nieszczęśnik i szybko zaczynał chwalić wszystkie pozostałe kwiaty. — Jaka urocza pokrzywa! — mówił wskazując na fiołki.

— Proszę nie odwracać kota ogonem. Złamało się prawo, posiedzi się w więzieniu, a tam już nauczą pana łgać według wszelkich prawideł.

A co się działo w szkołach, tego nie można opisać! Żeby wykonać dodawanie, trzeba było odejmować. Żeby podzielić, trzeba było pomnożyć. Nawet nauczyciele nie umieli rozwiązać ani jednego zadania i dla wszystkich tumanów nastąpiły świetne czasy: im więcej popełniali błędów, tym lepsze otrzymywali stopnie.

A wypracowania? Możecie sobie wyobrazić, jak wyglądały, kiedy wszystkie słowa przewrócono do góry nogami. Oto na przykład wypracowanie na temat: „Opis pogodnego dnia", które opracował pewien uczony i otrzymał za nie fałszywy złoty medal:

„Wczoraj padało. Jak przyjemnie spacerować w czasie ulewnego deszczu, który leje jak z cebra! Nareszcie ludzie mogli zostawić w domu swoje płaszcze i parasolki i wyjść na spacer bez marynarek! Nie lubię, kiedy świeci słońce, ponieważ trzeba wtedy siedzieć pod dachem, bo inaczej się zmoknie. I oprócz tego przez całą noc trzeba patrzeć na promienie słońca, które posępnie zaciemniają dachówki drzwi".

Aby w pełni ocenić tę pracę, trzeba wiedzieć, że „dachówki drzwi" w nowym języku znaczyło „szyby okienne".

A więc już zrozumieliście, o co chodzi. W Kraju Kłamczuchów nawet zwierzęta musiały się nauczyć kłamać. Psy miauczały, koty szczekały, a lwa, który siedział w klatce w ogrodzie zoologicznym, zmuszono do pisków, bo jego ryk przydzielono myszom. Tylko ryb i ptaków nie obowiązywały prawa króla Giacomone, gdyż ryby całe życie milczą i nikt nie może ich zmusić do kłamstwa, a ptaki fruwają w powietrzu i niełatwo je schwytać. W każdym bądź razie ptaki w dalszym ciągu śpiewały każdy swoim głosem i ludzie często spoglądali na nie z zawiścią.

— Szczęściarze! Nikt nie może ich ukarać grzywną!...

Gelsomino, słuchając opowiadania kotka, zupełnie upadł na duchu.

„Jakże będę mógł przebywać w tym kraju — myślał. — Mam tak silny głos, że jeżeli nieostrożnie powiem prawdę, usłyszy mnie od razu cała policja króla Giacomone. Poza tym głos bywa nieposłuszny i obawiam się, że mi sił nie wystarczy, aby go upilnować".

— Teraz już wiesz wszystko — zakończył Zoppino. — Pomówmy o czymś innym. Mnie się chce jeść.

— Mnie również. Tylko że o mało nie zapomniałem o tym.

— Głód to jedyna rzecz, o której nie sposób zapomnieć. Nie łagodzi go czas, lecz na odwrót, im więcej upływa czasu, tym silniej głód o sobie przypomina. Zaraz coś wymyślimy, tylko się pożegnam ze ścianą, która tak długo trzymała mnie w niewoli.

I Zoppino swoją czerwoną łapką z kredy napisał na ścianie: „Miau! Niech żyje wolność!"

Zdobycie jedzenia okazało się sprawą niełatwą. Cały czas, gdy się włóczyli po mieście, Gelsomino patrzył w ziemię, myśląc, że znajdzie fałszywą monetę. Zoppino, przeciwnie, przyglądał się przechodniom, jakby szukał kogoś znajomego.

— To ona — powiedział nagle i wskazał na starszą kobietę, która

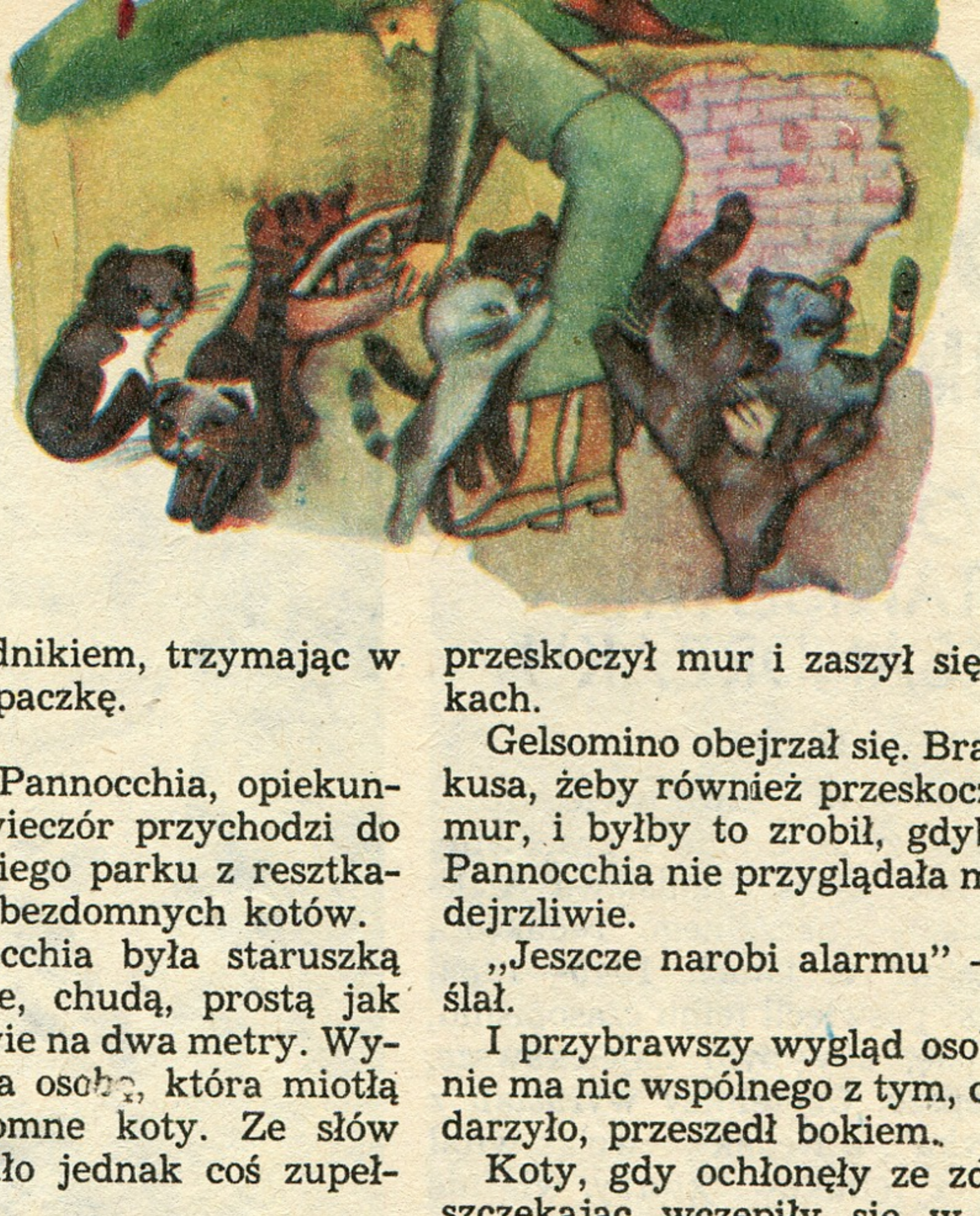

Rys. Wanda Orlińska

szybko szła chodnikiem, trzymając w ręku niewielką paczkę.

— Kto to?

— To ciotka Pannocchia, opiekunka kotów. Co wieczór przychodzi do bramy królewskiego parku z resztkami jedzenia dla bezdomnych kotów.

Ciotka Pannocchia była staruszką o surowej minie, chudą, prostą jak kij, wysoką prawie na dwa metry. Wyglądała raczej na osobę, która miotłą przegania bezdomne koty. Ze słów Zoppina wynikało jednak coś zupełnie odwrotnego.

Zaprowadziła ona Gelsomina i jego nowego przyjaciela na mały plac, gdzie w głębi widać było parkowy mur. Na jego szczycie jeżyły się ostre szkła z potłuczonych butelek. Dziesięć chudych, wyleniałych kotów przywitałc ich niezgodnym szczekaniem.

— Jakie one głupie! — powiedział Zoppino. — Popatrz, zrobię im kawał.

W chwili gdy ciotka Pannocchia rozwinęła swoją paczkę i wyłożyła resztki jedzenia na chodnik, Zoppino rzucił się między gromadę kotów, wrzeszcząc z całej siły:

— Miau! Miau! Miau!

Kot, który miauczy zamiast szczekać! To było dla miejscowych kotów czymś nieprawdopodobnym. Były tak zdumione, że stanęły z otwartymi pyszczkami, skamieniałe, podobne do posągów. Zoppino porwał kilka głów dorszy i ogon od śledzia, dwoma susami przeskoczył mur i zaszył się w krzakach.

Gelsomino obejrzał się. Brała go pokusa, żeby również przeskoczyć przez mur, i byłby to zrobił, gdyby ciotka Pannocchia nie przyglądała mu się podejrzliwie.

„Jeszcze narobi alarmu" — pomyślał.

I przybrawszy wygląd osoby, która nie ma nic wspólnego z tym, co się wydarzyło, przeszedł bokiem.

Koty, gdy ochłonęły ze zdumienia, szczekając wczepiły się w spódnicę ciotki Pannocchii, która naprawdę była zaskoczona nie mniej niż one. W końcu rozdzieliła między nie resztki jedzenia, rzuciła okiem na mur, za którym zniknął Zoppino, i wróciła do domu.

Gelsomino skręcił za róg ulicy i tutaj natknął się na długo oczekiwaną fałszywą monetę. Kupił sobie chleba i sera, czyli — jak się w tej krainie mówiło — butelkę atramentu i kawałek gumki do wycierania.

Zapadła szybko noc. Gelsomino był zmęczony i senny. Trafił na nie zamkniętą furtkę, wśliznął się do jakiejś szopy i wyciągnąwszy się na stosie węgla, zapadł w mocny sen.

Gianni Rodari

Przekład i opracowanie
Hanny Ożogowskiej

(Z książki „Gelsomino w Kraju Kłamczuchów")

PÓŁ ŻYCIA POŚWIĘCIŁ „PŁOMYCZKOWI”

WSPOMNIENIE O STANISŁAWIE ALEKSANDRZAKU

15.II.1909÷12.II.1985

Pół życia — to bardzo wiele, szczególnie, gdy życie długie i pracowite. A takie było życie Stanisława Aleksandrzaka — naczelnego redaktora „Płomyczka” w latach 1945—1984. Aż tyle lat poświęcił temu czasopismu, starając się, aby było najciekawsze, jak najlepsze. Czytelnicy wyrastali z „Płomyczka”, a Redaktor wciąż witał nowych czytelników, którzy właśnie dorastali do „Płomyczka”.

Wiedział o Was bardzo wiele, na pewno więcej, niż czasem sami o sobie wiecie, na pewno też więcej, niż Wy moglibyście wiedzieć o Nim. I dlatego chcę Wam teraz, kiedy możemy Go już tylko wspominać, opowiedzieć o Waszym i moim Przyjacielu. A znaliśmy się bardzo dobrze. Przez ostatnie trzydzieści lat widywaliśmy się prawie codziennie — witając się uśmiechem i żartem, bo taki już był, że nie można

Fot. Stefan Rutkowski

Pierwszy z lewej Stanisław Aleksandrzak w gronie: Kolegów Seminarium Pedagogicznego w Słupcy

się było witać z Nim i żegnać bez uśmiechu.

Poznałem Stanisława Aleksandrzaka w 1946 roku. Już wtedy był redaktorem naczelnym wznowionego zaraz po wojnie „Płomyczka", a także „Iskierek" — pisma dla najmłodszych dzieci, które zaczęło się ukazywać pod Jego redakcją jesienią 1945 roku.

Trudno sobie nawet teraz wyobrazić, jak bardzo w tych pierwszych powojennych latach brakowało dzieciom podręczników, książek, czasopism. Narzekamy, że dziś jest ich za mało, ale po wojnie, która na sześć lat przerwała wydawanie polskich czasopism i książek, niszcząc równocześnie tysiące domowych i publicznych księgozbiorów, w wielu domach i szkołach dzieci po prostu nie miały co czytać. Ten głód słowa drukowanego najprędzej mogły zaspokoić czasopisma i dlatego już w maju 1945 roku w wyzwolonej Łodzi narodził się „Świerszczyk", a niebawem w zniszczonej, ale powstającej do życia Warszawie wznowił działalność Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia", wydając w lipcu pierwsze powojenne numery „Płomyczka" i „Płomyka".

Z obydwoma tymi czasopismami już w latach przedwojennych Stanisław Aleksandrzak zawarł bliską znajomość. Był wtedy początkującym nauczycielem, uczył w wiejskiej, podwarszawskiej szkole i pisał wiersze dla dzieci. Zaglądał nieraz do redakcji „Płomyczka" i „Płomyka" przynosząc swoje utwory. Tu zaczął poznawać redaktorską pracę, której miał się w przyszłości poświęcić.

Zanim jednak to nastąpiło, przez kraj nasz przewaliła się wojna. Kiedy nadeszła wolność, trzeba była odbudowywać nie tylko domy, szkoły i fabryki. Trzeba też było dać dzieciom polskie książki i czasopisma. Stanisław Aleksandrzak był jednym z pierwszych, którzy z całą energią i optymizmem stanęli do pracy. W podwarszawskim Lesznie, na skraju Puszczy Kampinoskiej, uruchamiał szkołę, której został kierownikiem. Dojeżdżał też stale do Warszawy (a nie było to wtedy takie łatwe), gdzie wyszukiwał i skupiał wokół „Naszej Księgarni" dawnych pisarzy powracających z wojennej tułaczki. Odkrywał talenty młodych twórców. Zachęcał, by pisali dla dzieci, namawiał, przyciągał, doradzał, sam chwytał za pióro. I tak, gdy inni z cegieł — On z drukowanych słów budował nowy, ojczysty dom.

Stanisław Aleksandrzak z synem Markiem w górach przed laty

Dwoił się i troił, jak by chciał nadrobić stracone wojenne lata. A w Jego przypadku były to lata szczególnie tragiczne. Aresztowany przez Niemców jesienią 1940 roku za organizowanie tajnego szkolnictwa, ponad cztery lata spędził w obozach koncentracyjnych, głównie w Oświęcimiu. Żeby tam przetrwać — trzeba było wielkiego hartu, a Stanisław Aleksandrzak należał do tych, którzy myśleli nie tylko o własnym przetrwaniu, lecz potrafili też

Na wycieczce. Po lewej: Stanisław Aleksandrzak, po prawej: Zbigniew Przyrowski, były wieloletni redaktor naczelny „Młodego Technika"

nieść pomoc najsłabszym, najbardziej zagrożonym.

Toteż Jego dramatycznej wojennej przeszłości nikt by się nie domyślił, widząc zawsze pogodnego, przyjacielsko nastawionego do wszystkich redaktora. Lubił sobie pożartować, pośmiać się, pokpić sobie — szczególnie z wszystkich bardzo ważnych i poważnych. A kiedy się znalazł wśród dzieci, to już promieniował dobrym humorem. Potrafił ośmielić, rozruszać, rozbawić nawet tych najbardziej nieśmiałych.

Takim właśnie przyjacielskim, pełnym humoru gawędziarzem bywał na spotkaniach z czytelnikami „Płomyczka". Nie wygłaszał do nich nigdy poważnych przemówień. Przychodził jak do dobrych znajomych na pogawędkę. Mieliśmy kiedyś razem we dwóch (ja jako redaktor „Płomyka") spotkanie z dużą grupą polskich dzieci mieszkających w Czechosłowacji. Dzieci, ustawione w sali klasami, oczekiwały w podniosłym nastroju naszego wejścia — niemal jak na lotnisku w chwili lądowania najwyższych dostojników. Ale redaktor Stanisław, ledwo znalazł się na sali, odmienił wszystko. W ciągu paru minut zawrzało wśród dzieci: kwizy improwizowane na poczekaniu, żarty, zagadki, pytania sprytne i podchwytliwe.

Paka książek, które ze sobą przynieśliśmy, ledwie wystarczyła na nagrody dla roześmianych zwycięzców. Skończyło się oczywiście na oblężeniu przez zbieraczy autografów i na serdecznym pożegnaniu. Nikt z tej sali nie wyszedł smutny, dla nikogo nie zabrakło Płomyczkowego ciepła. Tak roztapiać lody nieufności i nieśmiałości potrafią tylko prawdziwi przyjaciele dzieci, którzy nie patrzą na szkolny lub podwórkowy ludek jak wszechwiedzący ludzie dorośli, lecz czują się w otoczeniu nawet dziesięciokrotnie od siebie młodszych tylko jak nieco starsi koledzy.

A kiedy jakiś kolega w wieku Płomyczkowym odważył się zajrzeć do redakcji — Redaktor Naczelny zawsze miał czas i ochotę, żeby zamienić z gościem, choćby w przelocie, parę słów i obdarzyć go żartem lub uśmiechem.

Jaki był i czym się interesował będąc chłopcem? Gdzie się urodził, gdzie spędzał dzieciństwo? Kim chciał w przyszłości zostać?

Nie wiem, czy pytaliście o to redaktora Aleksandrzaka na spotkaniach, kiedy przyjeżdżał z wizytami do szkół czy też bibliotek. Na pewno nieraz wspominał, że pochodzi z Ziemi Kaliskiej, że jego ojciec pracował na kolei i prowadził niewielkie gospodarstwo, że urodził się i wczesne dzieciństwo spędził w Marchwaczu pod Kaliszem, a naukę szkolną rozpoczął w pobliskim Opatówku, że — choć stał się warszawiakiem — to tamte strony zawsze pozostały bliskie Jego sercu. A gdy pytaliście, jakie jeszcze zna i lubi okolice — to pewnie odpowiadał, że zna całą Polskę, że każdy jej zakątek ma swoje uroki, ale na wypoczynek — czy to zimą, czy to wczesną jesienią najchętniej wybierał się w Tatry. Może też pytaliście, czy lubi podróżować. Na to pewnie odpowiadał, że w wesołym towarzystwie gotów jest wybrać się wszędzie, gdzie tylko można dojechać koleją, autobusem, dojść na piechotę lub na nartach (bardzo lubił uprawiać ten sport). Nie uznawał natomiast... komunikacji lotniczej i jak tylko mógł, to unikał latania samolotem. Ale do tej swojej słabostki chyba by się już nie przyznał, bo choć innych potrafił ośmielać — to o sobie samym nie lubił zbyt wiele mówić, a już nigdy nie chwalił się żadnymi sukcesami. Był wesoły, towarzyski, ale swoje najbardziej osobiste sprawy skrywał głęboko — i ze skromności i... z nieśmiałości, którą przesłaniał wesołym uśmiechem. Taki był od chłopięco-młodzieńczych lat.

Rozmawiałem niedawno o Stanisławie Aleksandrzaku z jednym z Jego najdawniejszych szkolnych kolegów, z którym przyjaźnili się chodząc razem do seminarium nauczycielskiego — najpierw w Liskowie, a później w Słupcy. Wyróżniał się zdolnościami

Fot. Stefan Rutkowski

Stanisław Aleksandrzak na spotkaniu z dziećmi

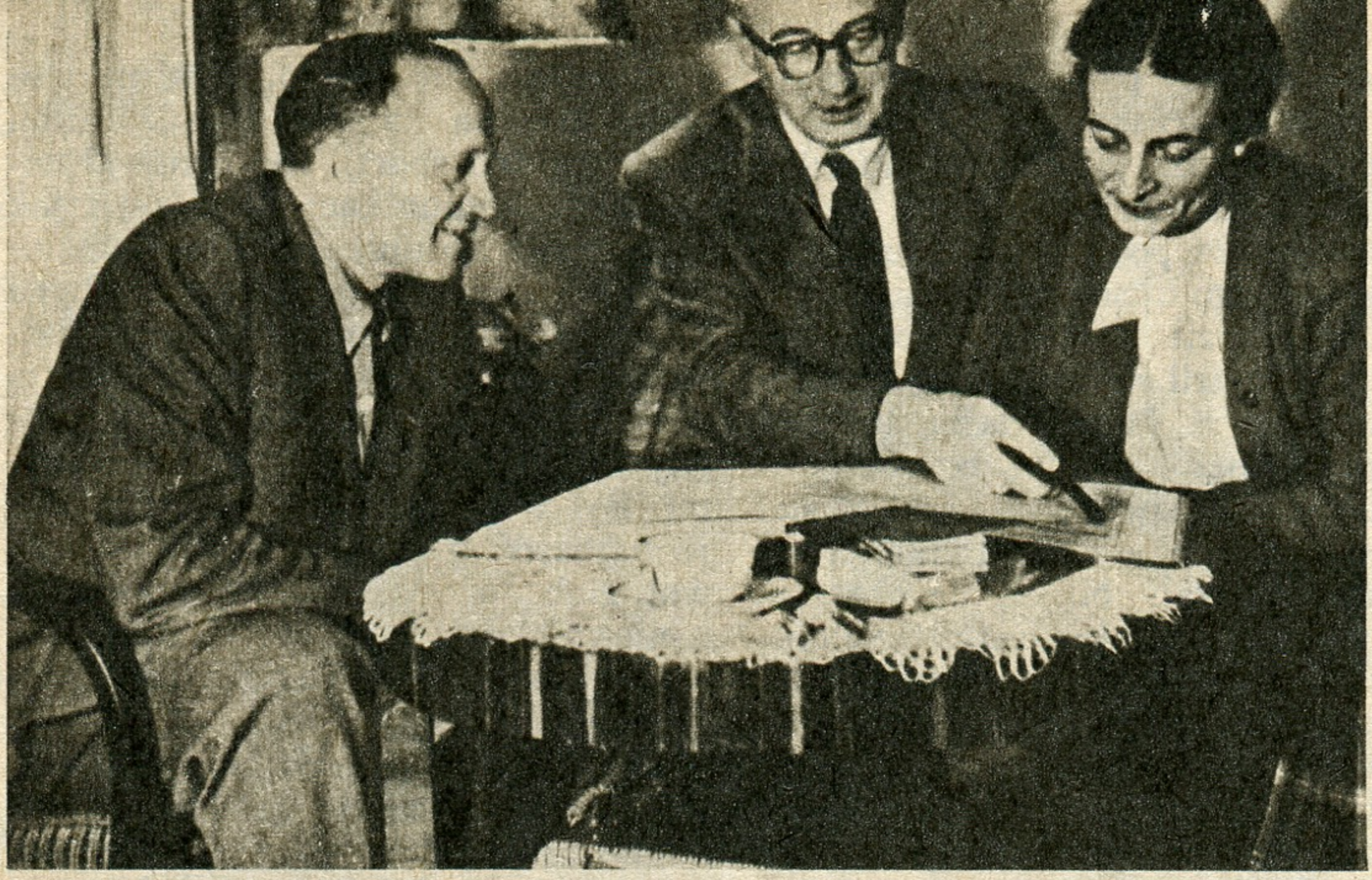

Stanisław Aleksandrzak rozmawia z Aliną i Czesławem Centkiewiczami

pisarskimi i wielkim oczytaniem w literaturze pięknej. Czytanie książek było Jego pasją, czytał też poważne pisma literackie. No i pisywał wiersze, a nawet w tajemnicy przed kolegami wysyłał do oceny swoje literackie próby do Juliana Tuwima, do Antoniego Słonimskiego — znanych już wówczas poetów. Otrzymywał od nich odpowiedzi, a więc pewnie nie były to daremne próby. Ale nawet najbliższym przyjaciołom nie zwierzał się z tego, co pisze. Wiedzieli tylko, że pisze wiersze, więc nazywali go „Stachu-poeta".

Ale ten trochę tajemniczy poeta ani trochę nie stronił od szkolnego życia — od sportu i wycieczek, od zabaw i uczniowskich figlów. A gdy w miejscowej szkole miał, jak każdy z seminarzystów, próbne lekcje z dziećmi — potrafił je tak wciągnąć do nauki i zainteresować, że nawet najbardziej zahukane i nieśmiałe wystawiało dwa palce w górę, żeby móc coś głośno powiedzieć.

Jak więc widać, do pracy pisarskiej ciągnęło Go już w latach szkolnych, a i do zawodu nauczycielskiego wykazywał wyjątkowe powołanie. Trzeba więc uznać za niezwykle szczęśliwe zrządzenie losu, że udało mu się połączyć swoje różne talenty w przyszłej pracy, że zaczął pisać wiersze i opowiadania dla dzieci i że został redaktorem ich czasopisma. Stał się dzięki temu nauczycielem i wychowawcą nie jednej czy kilku klas, lecz wszystkich dzieci w całej Polsce, gdzie tylko trafiał „Płomyczek". Był też autorem lub współautorem wielu podręczników, z których Wy się uczyliście, uczyli się Wasi rodzice, a pewnie i niektórzy dziadkowie. Zapoczątkował też przed laty wydawanie pisma dla najmłodszych pod tytułem „Miś", które kiedyś Wy czytaliście, a dziś jest pismem Waszych młodszych kolegów.

Za te wszystkie ważne dla oświaty zasługi otrzymał Stanisław Aleksandrzak honorowy tytuł Zasłużonego Nauczyciela Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Miał też wiele innych odznaczeń, z których najważniejsze, Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski, wręczono mu w ubiegłym roku, kiedy ukończył 75 lat życia. Nie odchodził jednak na emeryturę, jeszcze się nie żegnał.

Aż do końca ubiegłego roku wy-

trwał na redaktorskim posterunku. Swojemu następcy obiecywał, że nie przestanie pomagać w redagowaniu „Płomyczka", że może teraz znajdzie wreszcie więcej czasu na własne pisanie dla dzieci. Niestety, w niespełna dwa miesiące po odejściu z redakcji „Płomyczka" — odszedł już od nas wszystkich na zawsze.

* * *

Kiedy zaglądałem do dawnych roczników „Płomyczka", szukając utrwalonego w nich wizerunku Naczelnego Redaktora, a równocześnie pisarza — dostrzegłem niewielkie opowiadanie pod zabawnym tytułem „Z Dobrej Woli do Dobrej Chęci jedzie się przez most", podpisane skromnie jego literkami „S.A." Opowieść to prościutka o dwóch wsiach, które łączył most. Ale z czasem w moście zrobiła się dziura — najpierw mała, potem coraz większa. Ani ci z Dobrej Woli, ani ci z Dobrej Chęci nie kwapili się mostu naprawić. No, i na końcu, kiedy już most ma być wspólnie naprawiany, pojawia się morał: „Trzeba się razem zabrać do roboty. Tylko wspólna, zgodna praca tworzy rzeczy wielkie".

Myśl słuszna i równie aktualna w 1946, jak i w 1985 roku. Co więc ujęło mnie w tym opowiadaniu i zmusiło do zastanowienia? Otóż gdyby napisał je człowiek surowy w ocenach, bardzo zasadniczy, taki, co „dla zachęty" stawia dwójki, a nie piątki — to obsmarowałby tych niegospodarnych leniuchów i już w nazwach obu wiosek zawarłby potępienie. Nie zdziwiłbym się, gdyby wioski zwały się Zła Wola i Brak Chęci. Ale uśmiechnięty do świata i ludzi redaktor Stanisław Aleksandrzak sam był przecież zawsze człowiekiem najlepszej woli i najlepszych chęci, a ponad wszystko życzliwego serca. I nawet to najgorsze, co dane Mu było przeżywać przez cztery lata w Oświęcimiu, nie zniszczyło w Nim głębokiej wiary prawdziwego nauczyciela i wychowawcy, że wszyscy ludzie mogą być dobrzy, jeśli tylko chcą. Ale żeby chcieli, trzeba ich tego nauczyć. A więc uczył — niosąc Czytelnikom „Płomyczka" przyjacielski uśmiech i dobre, mądre, ojczyste słowa.

Jan Stanisław Kopczewski

Laureaci Nagrody im. Kornela Makuszyńskiego, przyznanej po raz pierwszy 6.XII.1984 r. przez SD PRL. Od lewej: Zdzisław Nowak, Stanisław Aleksandrzak i Jadwiga Dąbrowska.

Kozia bajka

Z wierszy Stanisława Aleksandrzaka

Książkę z bajeczkami
zgubił kiedyś Marek,
znalazła ją koza,
zjadła kartek parę...

„Teraz wiem, dlaczego
czytać książki warto" —
pomyślała kózka
nad następną kartą.

Książka wprost cudowna,
lektura ciekawa,
smakuje jak w lecie
świeżuteńka trawa...

Trzeba czytać szybko,
nim się lekcje zaczną!
Dobrze, że spotkałam
taką książkę smaczną...

Potem mądra koza
przed cielęciem staje.
— Chcesz, to ci opowiem
kilka pięknych bajek.

— Proszę, bardzo proszę —
zgodziło się cielę —
nudzę się dziś bardzo,
będzie mi weselej...

— Żyła przed wiekami —
stwierdza kózka mała —
ale kto żył, nie wiem,
całkiem zapomniałam.

— Żyła, wiem na pewno...
Zjadłam przecież właśnie
z książki bardzo ładnej
dwie bajki, trzy baśnie.

— Wierzę — rzekło cielę
w swej mowie cielęcej —
poczekam, aż połkniesz
jeszcze kartek więcej...

A wówczas na pewno
wszystko się wyjaśni
i posłucham chętnie
twoich pięknych baśni.

Nie chcę tą bajeczką
robić kozie krzywdy,
lecz ona o książkach
nie wspomina nigdy...

Felek

Fala za falą po morzu goni, uderza z szumem o brzeg.
Słońce poranne srebrzy się w wodzie. Pogoda! O, jak dobrze.
Powiew znad morza wpadł między drzewa,
liście cichutko szeleszczą.
Budzi się rano nasza kolonia, budzą się dzieci ze snu.
Słońce wysoko płynie po niebie, blaski na falach ściele.
Harcerze kąpią się w morskiej wodzie.

Gdzie Felek? Gdzie Felek? Gdzie Felek?

Teraz, uwaga! Ranne ćwiczenia, ustawił się już szereg.
Podskok z przysiadem, przysiad z podskokiem...

Gdzie Felek? Gdzie Felek? Gdzie Felek?

Sygnał gra trąbka, na apel wzywa: Zbiórka! Już czasu niewiele.
Apel drużyny, wszyscy w komplecie...

Gdzie Felek? Gdzie Felek? Gdzie Felek?

Już po apelu, marsz na śniadanie, tam bułki, masło i serek.
Kto pierwszy usiadł przy pełnym stole?

Nasz Felek? Nasz Felek?

Nasz Felek!

Lampart

Poznajecie go chyba:
lampart siedzi przed wami,
dwieście kilo ma wagi,
dwieście — razem z cętkami.

— Kiedy patrzę na ciebie,
to przyznaję otwarcie:
Tak sam na sam być z tobą
to bym nie chciał, lamparcie...

Stanisław Aleksandrzak

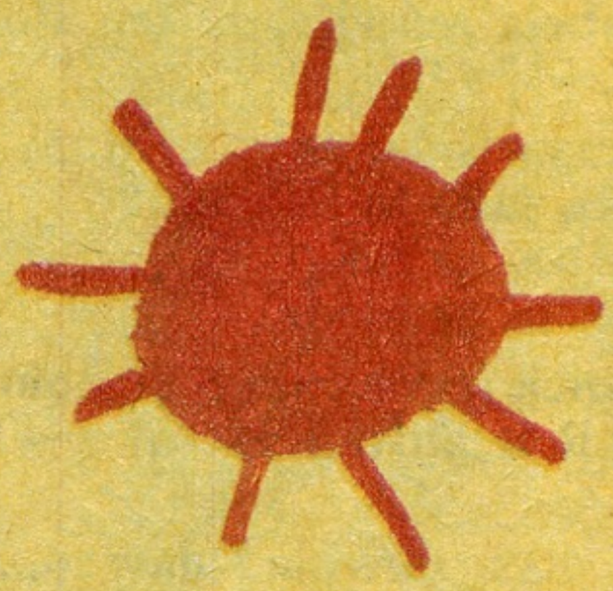

Tańczący słoń

8

— Jak ci smakuje ciasto? — zapytał Muminek Zulejkę.

— Świetne.

Dziewczyna wzięła malca za rękę i zaprowadziła do kąta pod oknem. — Słuchaj — zapytała — od jak dawna twoja babcia ma tego tańczącego słonia?

— Jakiego tańczącego?

— No, tego z porcelany, co stoi na półce.

— Tego? Przecież powiedziała ci, że od wojny.

— Czy to pewne?

— Nie wiem, bo ja wtedy jeszcze nie żyłem, a ten słoń, mówię ci, to legendarny zabytek. A babcia to się nad nim trzęsie, jakby był ze złota. Nie pozwala mi go dotykać.

— Czy nigdy nie wspominała, że w tym słoniu coś jest?

— Nie pamiętam. Raz tylko powiedziała, że jest w nim... — Przerwał, jak gdyby chciał się z nią droczyć.

— No co? Co? — ponagliła go.

— Jest w nim wielki urok.

— Eee... — rozczarowała się. — Może kiedyś wspomniała, że ta figurka ma jakieś nadzwyczajne właściwości?

— Może.

— Przypomnij sobie, co mówiła o tańczącym słoniu.

— Babcia mówiła, że ten słoń ma swoją legendę.

— Oczywiście, że ma. Może sobie przypominasz, jaka to legenda?

— Jasne, że tak.

— No, to powiedz.

Muminek zaczerpnął głęboko powietrza oczy wbił w sufit i zaczął z wielką powagą.

— Kiedyś, dawno... dawno... był porcelanowy słoń. — Zamilkł i spojrzał łobuzersko na Zulejkę.

— A dalej co?

— Nie wiem, bo w tym miejscu zawsze zasypiałem.

Zula klepnęła go w plecy.

— Szanowna młodzieży — klasnęła w dłonie babcia Żednicka — teraz zabawimy się w fanty.

W bystrym umyśle inspektora policji zrodził się zuchwały plan. „Teraz albo nigdy!" — pomyślała Zulejka i stanęła obok pani Żednickiej.

— Świetny pomysł! — zawołała, a gdy nikt nie zgłosił sprzeciwu, siadła na środku pokoju i rozkazała: — Siadajcie w kółko. Znacie chyba zasady zabawy?

Nikt nie zaprzeczył. Zulejka co chwila zerkała w stronę półki. Tańczący słoń z podniesioną wysoko trąbą stał na tym samym miejscu. Dziewczyna drżała, by nie nastąpiło coś nadzwyczajnego, co mogłoby pokrzyżować jej plany. Na szczęście wszystko poszło gładko i gdy na nią przyszła kolej dać fant, ruszyła drobnymi kroczkami w stronę półki.

— Proszę pani — zwróciła się do babci Żednickiej — czy mogę dać tego tańczącego słonia?

Babcia wzdrygnęła się. Zdziwiony wzrok skierowała na Zulejkę. Chwilę milczała, lecz gdy dziewczyna sięgnęła po figurkę, dała się zaskoczyć.

— Oczywiście, moja droga, tylko uważaj...

W tym samym momencie Zulejka porwała słonia. Uczyniła to tak niezręcznie, że figurka wyleciała jej z ręki, poszybowała nad półką, odbiła się od tapczanu i z hukiem upadła na podłogę.

Wszyscy zamarli. Z ust babci Żednickiej wyrwał się cichy okrzyk zgrozy. Porcelanowy słoń rozbił się na kawałki, a z jego wnętrza na posadzkę wyleciała wata, małe zwitki papieru i jeszcze coś... Coś małego jak perłowy guziczek od koszuli. To coś

błysnęło tęczowo i potoczyło się pod tapczan w miejscu, gdzie siedziała kobieta w czerni. Zulejka rzuciła się szczupakiem za ginącym pod tapczanem świecidełkiem, lecz pani Irma uprzedziła ją. Zsunąwszy się na klęczki, sięgnęła pod tapczan. Ich palce spotkały się. Zulejka wyczuła, jak tamta zaciska dłoń.

— Przegrałam — pomyślała, lecz dotknąwszy powtórnie ręki pani Irmy, stwierdziła, że jej zaciśnięta pięść wiotczeje, jakby coś upuściła. Dziewczyna wodziła dłonią po omacku, lecz zamiast świecidełka, zgarnęła garść kurzu. Obie jednocześnie zrezygnowały z dalszych poszukiwań i obie podniosły się z klęczek, a gdy się wyprostowały, napotkały spojrzenie pani Żednickiej.

Pani Irma otrzepywała dłonią spodnie.

— Trzeba odsunąć tapczan — powiedziała przygaszonym głosem.

Dziewczyna spojrzała na nią wyzywająco.

— Mnie się zdaje, że pani to już podniosła.

Tamta umknęła wzrokiem w bok.

— To ci się tylko tak zdawało.

— Jestem prawie pewna.

Pani Irma wzruszyła ramionami, a dla zatuszowania drżenia w głosie, zapytała głośno:

— A właściwie co to było?

Wszyscy skierowali wzrok na babcię Żednicką. Stała pod oknem z wyciągniętą ręką, jak gdyby prosiła o zwrot zguby. Ręka jej drgnęła, a w jej żywych oczach można było wyczytać wielkie zakłopotanie.

— Proszę państwa — powiedziała cicho — ja tę figurkę dostałam w Budapeszcie podczas oblężenia miasta. Sama jestem zdumiona, bo do tej pory byłam święcie przekonana, że figurka jest pusta.

Rozejrzała się, chcąc zbadać, gdzie upadły papierowe zwitki, lecz na podłodze już ich nie było.

— Co się z nimi stało? — wyszeptała żałośnie zdumiona. — Czy to cud, czy...

— Nie martw się, babciu — wtrącił niezwykle poważnie Muminek. — Ja już pozbierałem te brylanty.

— Brylanty! — Pani Downarowa zachłysnęła się własnym oddechem. — Przecież to miliony. Pokaż — zwróciła się do Muminka.

Babcia stanęła między nimi.

— Czesiu! Co też ty opowiadasz. Przecież pani widzi, że żartujesz.

Malec naburmuszył się.

— A może nie brylanty? — zamrugał zabawnie okrągłymi jak guziki oczkami.

— Może pani przecież sprawdzić, co jest w tych papierkach — nastawała rozgorączkowana pani Downarowa.

Babcia Żednicka skinęła na wnuka.

— Czesiu, daj mi te zwitki. — Chłopiec bez słowa oddał trzymane w zaciśniętej pięści domniemane skarby. Wszyscy zebrali się wokół babci. Pałającymi ciekawością oczyma śledzili każdy jej ruch. Ona tymczasem wybrała jeden ze zwitków. Rozwinęła go. Któreś z dzieci zawołało:

— Eee... przecież to zwykły papier.

Pani Żednicka uniosła go wyżej. Na miniaturowej rolce cienkiego jak bibułka papieru widniały rzędy dziwnych znaków. Z daleka można było sądzić, że to bibuła upstrzona przez muchy.

— Dziwna rzecz — westchnęła rozczarowana pani Downarowa.

Babcia pokiwała tylko głową.

— Nie widzę w tym nic dziwnego. Tylko ludzie zawsze chcą mieć sensację.

Zulejka, która w milczeniu przypatrywała się całej tej scenie, podeszła do pani Żednickiej.

— Przepraszam, czy może pani rozchylić dłoń.

— Oczywiście — odparła zaskoczona i rozwarła palce.

Dziewczyna spośród zwitków wyjęła niewielki kawałek czystego papieru. Pokazała go wszystkim.

— W tym papierku było to coś, co poleciało pod tapczan.

Pani Irma ogarnęła ją spłoszonym spojrzeniem.

— Z czego to wnioskujesz?

— Po pierwsze widzieliśmy, że pod tapczan potoczyło się coś błyszczącego, a po drugie na tym kawałeczku nie ma żadnych znaków i nie był zwinięty.

— No, proszę, proszę, jaka jesteś spostrzegawcza.

Zulejka przymrużyła łobuzersko oczy.

— Tylko nie wiadomo, kto podniósł tę błyskotkę.

— To nieważne, moja miła — rzuciła pospiesznie babcia. — Jutro rano odsunie się tapczan i na pewno znajdzie się zguba.

— A jeżeli się nie znajdzie? — zapytała Zulejka z naciskiem i uśmiechnęła się tajemniczo.

*

— Ty, Zulejka — powiedział Bartek, kiedy wyszli z pokoju — mówiłem ci, że to siatka szpiegowska.

— To trzeba jeszcze sprawdzić — odparła zamyślona.

— Przecież wszystko się zgadza. Wszystko jest tak, jak w tym nie dokończonym liście. Tylko szkoda, żeśmy nie zdmuchnęli takiego jednego zwitka.

Dziewczyna przymrużyła figlarnie oko.

— Skąd wiesz, że nie?

— No bo...

Sięgnęła do kieszeni, dwoma palcami wyciągnęła zwitek i zamigała nim chłopcu przed nosem.

— Wiesz — zawołał — jesteś naprawdę piramidalna.

— Po prostu mam dobry refleks. Kiedy wstawałam z klęczek, przy pantoflu tej żałosnej mortadeli Irmy zobaczyłam jakiś papierek, więc rozumiesz, zrobiłam, co trzeba było zrobić.

— Fantastyczna sprawa... Tylko kto nam rozszyfruje te znaki?

— Już teraz się martwisz? A może to przepis na pieczeń z płetwy rekina.

— Nie żartuj... I jeszcze jedna zagadka: co poleciało pod tapczan?

— Brylant — odparła bez namysłu.

— Skąd wiesz, że brylant?

— Wydedukowałam z miny tej żałosnej mortadeli.

— Czy to można w ten sposób cokolwiek wydedukować?

— Nie martw się. Znam się na tym.

— I myślisz, że ona podniosła ten brylant?

— Nie myślę... Jestem pewna. Bo jak sięgnęłam pod tapczan, to ona już go miała w zaciśniętej dłoni.

— Nie mogłaś jej wyrwać?

— Śmieszny jesteś. Gdybym mogła, to mielibyśmy teraz ważny dowód rzeczowy. A tak — westchnęła — czeka nas jeszcze poważna robota.

— Jaka?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

— Jaka? Jaka? Czy ty nie możesz sam pobudzić swych szarych komórek do pracy.

— Już wiem, będziemy musieli ją śledzić.

— I tę robotę powierzam tobie, sierżancie.

— Wspaniale. Gdzie ona mieszka?

— W „Jantarze".

— A kto to w ogóle jest ta pani Irma?

— Ba, gdybym wiedziała, to nie powierzałabym ci tej roboty.

— Jedno jest pewne, że to znajoma babci Żednickiej. I od babci można się dowiedzieć...

— No, nareszcie zacząłeś dedukować. Mogę ci tylko powiedzieć, że to najbardziej podejrzana osoba z nich wszystkich.

Wyszli do ogrodu. Noc była ciepła.

Zulejka westchnęła.

— Ufff... Jak na jeden dzień to za dużo sensacji. Konam ze zmęczenia.

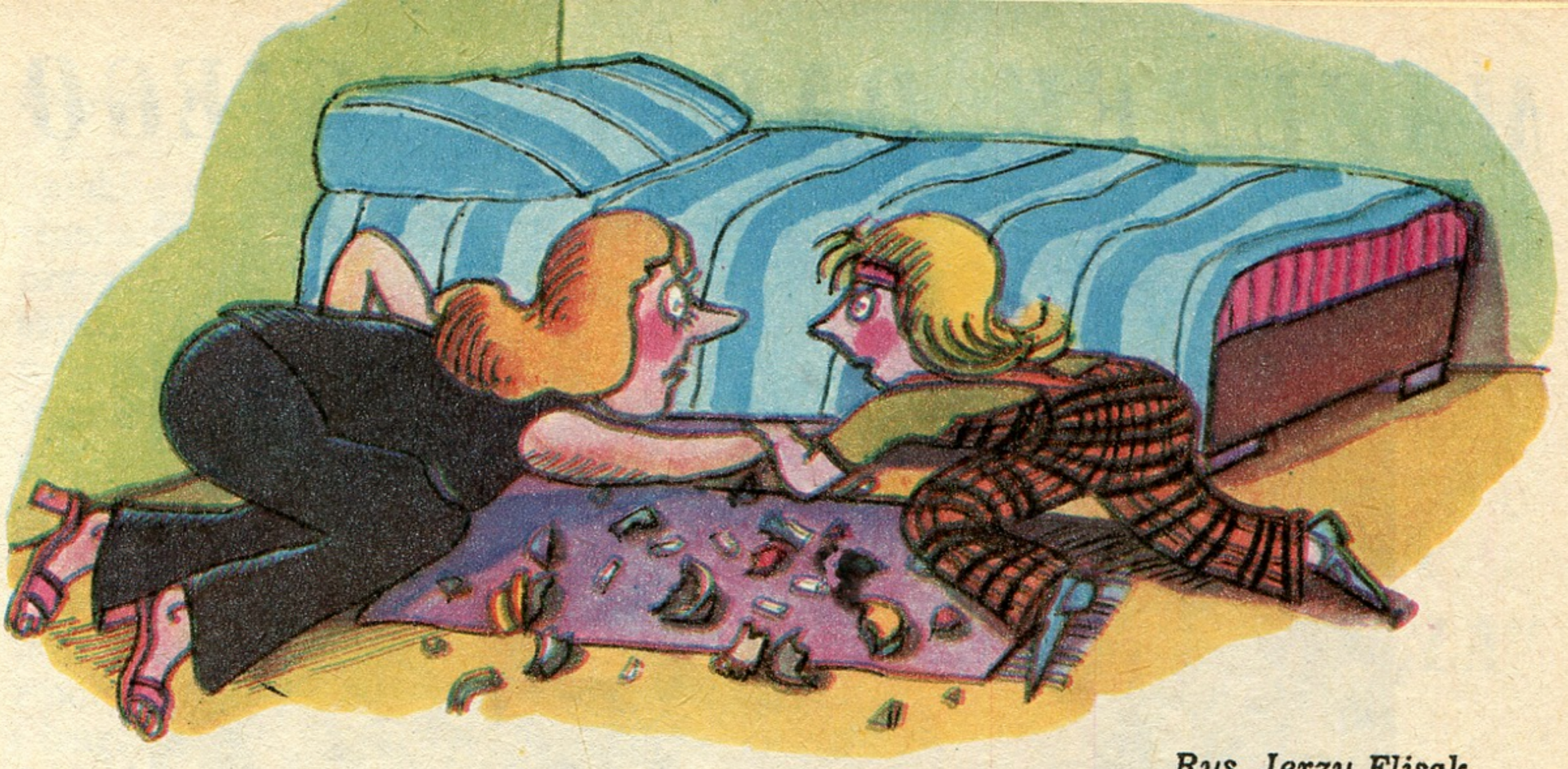

Rys. Jerzy Flisak

— Wyśpisz się, a jutro od świtu zabieramy się do roboty.

Spojrzał na swego szefa. Zulejka przymknęła oczy. Jej twarz w świetle księżyca wyglądała jak maska. — Odprowadzę cię do kempingu — powiedział stanowczo.

— Dziękuję ci, ale błagam, nie mówmy już o tej sprawie, bo mi się kręci w głowie.

Kiedy wracał z kempingu do „Goplany", zbliżając się do furtki spostrzegł, że po przeciwnej stronie ulicy jakiś mężczyzna przygląda się oświetlonym oknom pensjonatu. Sylwetka wydała mu się znajoma. Przeszedł więc na drugą stronę i udając, że nie zauważył ukrytego za drzewem mężczyzny, minął go.

— Krzywonos — wyszeptał zdumiony i niemal jednocześnie usłyszał jego głos:

— Dobry wieczór. Czy ty może mieszkasz w tym pensjonacie?

Bartek zatrzymał się gwałtownie.

— A jeśli nie, to co? — odparł zaczepnie.

Tamten zbliżył się do niego. W poświacie księżyca jego twarz wydała się płaska i bez wyrazu.

— Nic. Tylko pytam.

— Poznaje mnie pan? — wykrztusił. Chciał mówić spokojnie, lecz czuł, że nie może opanować drżenia głosu.

— Nie bój się. Ja nie jestem taki groźny, jak sobie wyobrażasz.

— Czego mam się bać — wzruszył gwałtownie ramionami, a potem dodał z przekąsem. — Bardzo mi miło spotkać pana, panie magistrze.

Tamten uśmiechnął się tajemniczo.

— Nie jestem wcale magistrem. Ktoś cię źle poinformował.

— A kto jada z panem obiady na Cienistej pod czternastym?

— Aaa... Ten miły starszy pan, którego tak zawzięcie śledziłeś w porze obiadowej.

Pod chłopcem ugięły się nogi. W pierwszej chwili nie mógł zrozumieć, skąd tamten wie o popołudniu żmudnie spędzonym na dreptaniu po piętach Fajczarzowi. Zamurowało go na chwilę, lecz wnet ocknął się i rzucił niemal zuchwale:

— To pan jednak jest gliną. I w ogóle, skąd pan wie, że...

— Śledziłeś tego pana ornitologa? — dokończył Krzywonos żartobliwym tonem. — Nie jestem gliną, jak sądzisz, lecz mam dobre oko i zauważyłem, że tropisz go ze śmiertelną powagą.

— To właściwie kim pan jest? Raz oficerem milicji, raz magistrem ekonomii, a może... — zająknął się.

Krzywonos uśmiechnął się tajemniczo.

— Gdybym ci powiedział, to i tak byś mi nie uwierzył. Ustalmy, że jestem panem Iks.

— Iks z wieloma niewiadomymi — kpił przekornie chłopiec. — Ale mnie najbardziej interesuje, dlaczego pan zabrał nam niewinną figurkę.

— Przypuśćmy, że mi się podobała.

— Gdyby się panu podobała, to nie oddałby jej pan właścicielce.

Krzywonos uniósł lekko brwi, a oczy zaokrągliły mu się ze zdziwienia.

— Właścicielce? — powtórzył. — Mylisz się, nikomu tej figurki nie oddałem.

Adam Bahdaj

(Ciąg dalszy nastąpi)

MAZUREK DĄBROWSKIEGO

Trudno pisać o hymnie narodowym bez patosu i wzruszenia. Tym bardziej, że wśród innych hymnów państwowych na świecie, często podniosłych i dumnych, wyróżnia się nasz „Mazurek Dąbrowskiego" właśnie swoją miłą sercu, taneczną ludową melodią oraz pogodnym i bezpretensjonalnym tekstem. Nie jest to brak należnego szacunku dla innych hymnów państwowych, lecz stwierdzenie odmienności tej naszej pieśni narodowej.

Melodia „Mazurka Dąbrowskiego", wesoła i żwawa, jest jak dźwięki starego zegara z kurantem w małym szlacheckim dworku Wybickich w Bełdominie na Kaszubach, gdzie urodził się Józef Wybicki (1747—1822), autor „Pieśni Legionów" — dedykowanej generałowi Henrykowi Dąbrowskiemu. A tekst „Mazurka" — skromny i prosty, świadomie utrzymany jest w stylu dawnych staropolskich pieśni. Tyle, że na polityczny temat uło-

żonych. Jest więc nasz hymn narodowy, formalnie rzecz biorąc, utworem dalekim od wzniosłości... ale kiedy go słuchamy lub śpiewamy, zbyt wiele przypomina faktów i wydarzeń z naszych dziejów ojczystych, żebyśmy mogli oprzeć się dławiącemu gardło wzruszeniu, gdy melodię jego słyszymy.

Właściwie wszystko to, co wydarzyło się od roku 1797, jest w słowach i muzyce tej pieśni, jeśli nie wprost tam napisane, to w naszej wyobraźni, emocjach i odczuciach. Bohaterska i tragiczna epopeja Legionów polskich w służbie Napoleona. Heroizm powstania listopadowego i styczniowego. Zmagania o niepodległość w latach 1914—1918 zakończone wreszcie sukcesem po wielu latach niewoli. Znowu klęska i bohaterstwo żołnierzy Września 1939. Konspiracja, partyzantka, Powstanie Warszawskie. Walki Polaków na wszystkich frontach drugiej wojny światowej: Monte Cassino, Lenino, Tobruk, Kołobrzeg, Berlin. Wszędzie tam, gdzie „szedł żołnierz i ginął", śpiewano „Jeszcze Polska nie zginęła".

Po Powstaniu Listopadowym, szczególnie w okresie Wiosny Ludów, stał się ten legionowy utwór międzynarodową pieśnią wolności narodów ujarzmionych i uciskanych. Słowa pieśni Józefa Wybickiego przetłumaczono na wiele języków świata. Uchodziła za pieśń rewolucyjną, śpiewaną na barykadach. Jeszcze później wzorowano na melodii „Mązurka" hymny narodowe i pieśni wyzwoleńcze innych, odradzających się państw Europy. Może dlatego — że jak już powiedzieliśmy — jest on prosty, szczery, demokratyczny i niezwykły w formie i treści. Nie sławi króla lub cesarza. Nie wywyższa swojego narodu nad inne. Nie ma w nim szowinizmu czy pochlebstwa. Mówi o wielkich sprawach językiem zwykłej żołnierskiej piosenki.

Tekst powstał w lipcu 1797 r. w Reggio nell' Emilia w północnych Włoszech. Melodia oparta jest na starym ludowym utworze pochodzącym z Podlasia, bardzo popularnym od początku XVIII wieku.

Zbigniew Adrjański

„JESZCZE POLSKA NIE ZGINĘŁA"

(Hymn narodowy)

Jeszcze Polska nie zginęła,
Kiedy my żyjemy.
Co nam obca przemoc wzięła,
Szablą odbierzemy.

Marsz, marsz Dąbrowski
Z ziemi włoskiej do Polski.
Za twoim przewodem
Złączym się z narodem.

Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę,
Będziem Polakami,
Dał nam przykład Bonaparte,
Jak zwyciężać mamy.

Marsz, marsz, Dąbrowski...

Jak Czarniecki do Poznania
Po szwedzkim zaborze,
Dla ojczyzny ratowania
Wrócim się przez morze.

Marsz, marsz, Dąbrowski...

Już tam ojciec do swej Basi
Mówi zapłakany —
Słuchaj jeno, pono nasi
Biją w tarabany.

Marsz, marsz, Dąbrowski...

Wersja oficjalna zatwierdzona przez Sejm dnia 15 października 1926 r.

MŁODZIEŻ Z AUSTRALII

Za wszelką cenę chciałem zobaczyć wnętrze Australii. Tyle słyszałem o słynnych pustyniach, o mało dostępnych rezerwatach krajowców — Aborygenów i o tamtejszych dziwnych zjawiskach geologicznych.

Szczęście mi dopisało, zostałem bowiem zaproszony przez jednego z naszych rodaków do miejscowości Alice Springs — miasta położonego w sercu Australii. W Alice Springs poznałem autentyczną autochtonkę — Werę, która pełniła funkcję opiekuńczą nad plemieniem Orantes. Wera pochodzi z tego wędrującego plemienia i jest jedynym jego łącznikiem ze światem białych. Poprosiłem ją, żeby mnie do nich zawiozła. Do aktualnego miejsca pobytu tubylców wybraliśmy się specjalnym samochodem, zaopatrzeni w wodę i pożywienie. Kiedy przyjechaliśmy na miejsce, w obozie zapanowało poruszenie. Starszy rodu wyszedł na nasze spotkanie. Wera przed-

Do obozu tubylców zawiozła mnie Wera, wywodząca się z ich plemienia

stawiła mu cel mojego przyjazdu, a następnie razem weszliśmy do obozu.

W obozowisku dominują dzieci, w każdej bowiem rodzinie jest ich bardzo dużo. W takim zbiorowisku trudno czasem odróżnić matkę od córki. Wyglądają niekiedy jednakowo staro.

Plemiona pustynne nie mają własnego pisma. Słowo jest dla nich wszystkim: przekazem historii, wiedzy o zdobywaniu żywności czy nauki. Powiedziałem: nauki. Jak to możliwe, skoro nie znają słowa pisanego? A jednak wasi rówieśnicy muszą się uczyć, ba, nawet zdobywać świadectwa. Chłopców należy przygotować do pełnienia obowiązków myśliwego, obrońcy swojego rodu, no i oczywiście do przyszłej roli męża.

Właśnie wtedy, kiedy dla chłopca zaczyna się okres nauki, jego życie jako dziecka kończy się. Edukacja jest długa i uciążliwa. Być prawdziwym mężczyzną, godnym zaufania plemienia, znaczy wykazać się nie lada sprytem i odwagą.

Zacznijmy od przygotowania do roli myśliwego. Wasz rówieśnik, powiedzmy z klasy piątej, wyrusza ze swoim opiekunem

w bezkresne obszary pustyni. Uzbrojony we własnoręcznie wykonaną włócznię będzie polował na kangura lub warana. Wyrusza bez żywności i wody, całkowicie zdany na własny instynkt. Opiekun natomiast wcale nie ma zamiaru roztaczać opieki nad młodym kolegą. Raczej utrudnia mu życie, stwarza różne problemy, a rozwiązanie ich świadczy o męskości młodego człowieka.

Udane polowanie na kangura dowodzi kunsztu myśliwego. Kangur jest bardzo sprytny, można nawet powiedzieć, że inteligentny. Polowanie trwa nieraz kilka dni. Wszystko tu jest ważne. Na pustyni są roje much. Gdyby kilka z nich usiadło na nosie chłopca, a następnie przeniosło się na kangura, ten poczuje zapach człowieka. Rzecz jasna, bierze wtedy nogi za pas i tylko kurz za nim pozostaje. A przecież myśliwy musi się zbliżyć na odległość kilku metrów, by rzucić weń włócznią.

Trzeba zachować jak największą ostrożność. Kangur jest czujny — bez przerwy odrywa się od pożywienia i śledzi teren. Rozpoczyna się akcja. Zwycięży sprytniejszy. Chłopiec wie już wszystko. Stara się nie dopuszczać do siebie much, podchodzi od strony zawietrznej, pod wiatr, tak, aby jego zapach nie dotarł do nozdrzy kangura. Rola opiekuna ogranicza się do obserwacji poczynań chłopca. Kiedy młody myśliwy zbliży się już nad odległość rzutu włócznią — zamiera w bezruchu. Kangur węszy, coś wyczuwa. Chłopiec wybiera mały kamyk i, kiedy kangur znowu zbliży pysk do ziemi, rzuca go tak, aby kamień upadł za zwierzęciem. Kangur zwrócił łeb w kierunku upadającego kamienia i to go zgubiło. Młody myśliwy ciska włócznią i bezbłędnie uderza w szyję kangura. Stojący w pobliżu opiekun głośno krzyczy: „Jak-ai!", co znaczy — trafiłeś.

Polowanie to tylko jeden z „przedmiotów" w szkole życia. Pod okiem starszego z rodu trzeba przejść również solidny kurs etyki. Tak, nie wszyscy nawet wiemy, co to za przedmiot. Młody tuziemiec, Aborygen, musi nauczyć się żyć w zespole, szanować kobiety, starszych.

Kiedy wszystkie przewidziane w planie zajęcia zostają zakończone, a kilku „absolwentów" jest gotowych do przejścia w stan dojrzałości, przygotowuje się wielkie święto plemienne. Każdego czeka jeszcze pewnego rodzaju praca. Teraz trzeba pokazać, co każdy z młodzieńców potrafi wykonać samodzielnie. Młodzi ludzie wyruszają samotnie na pustynię, nie zabierając ze sobą ani broni, ani pożywienia. Muszą wszystko zdobyć, a przy tym samodzielnie upolować kangura. Powrót dorastającego chłopca do obozu ze zdobyczą na ramieniu jest dowodem dla wszystkich członków plemienia, że jest on już dorosłym mężczyzną.

Wiele ciekawostek można by jeszcze opowiedzieć o życiu waszych rówieśników z wnętrza Australii. Nie przypuszczajcie jednak, że ich życie jest łatwe, że żyją swobodnie, bo nie muszą chodzić do szkoły. To tylko pozorne swobody mieszkańca pustyni. Ich życie jest ciągłym poszukiwaniem pożywienia i wody.

Pożegnaliśmy obóz Aborygenów wieczorem, przy stopniowo zapadającym zmroku i szybko opadającej tarczy słońca.

Tekst i zdjęcia: Bronisław Dostatni

Z WIELU ŹRÓDEŁ — POLSKA

Polska, nasza Ojczyzna, to dla Polaków wielka, święta sprawa. Kochana, szanowana nie tylko przez tych, którzy tu z dziada pradziada żyją, ale i przez wielu cudzoziemców.

Wielu przybyszów z innych krajów spolszczyło się. Wspaniale pracowali dla swojej nowej ojczyzny. Stawali się jej cząstką. Wzbogacali „polską rzekę" o echa i wartości innych kultur. Wnosili do skarbnicy naszej kultury tak potrzebne składniki, jak wytrwałość, systematyczność i precyzję...

OSKAR KOLBERG (1814—1890). Ojciec jego był z pochodzenia Niemcem, a matka Francuzką. Sam przesiąknął atmosferą polskości. Tak zauroczyła go niezwykłość i bogactwo polskiej kultury ludowej, że całe życie poświęcił zbieraniu podań, przysłów i pieśni ludu polskiego. W ciągu wielu lat pracy zebrał około 24 tysięcy pieśni, 12 tysięcy przysłów, podań i bajek ze wszystkich regionów Polski. Stworzył kilkudziesięciotomowe dzieło. Przedsięwzięcia badawczego na taką skalę nie podjął nikt ze współczesnych w świecie. Do dzisiaj jego dzieło jest wyjątkowe, jako przykład wnikliwej i ogarniającej swym zasięgiem cały kraj dokumentacji.

SAMUEL BOGUMIŁ LINDE (1771—1847), językoznawca wykształcony w Lipsku, był Niemcem, który swoją polską „przygodę" rozpoczął od zetknięcia się z Hugonem Kołłątajem, Tadeuszem Kościuszką, Julianem Ursynem Niemcewiczem i innymi emigrantami. Sprawy polskie stały się mu bardzo bliskie. Po odsunięciu się od polityki, swój czas i talent poświęcił ogromnej pracy nad 6-tomowym „Słownikiem języka polskiego". To dzieło przyniosło mu europejską sławę naukową. Była to praca odkrywcza i pionierska, która zapoczątkowała rozwój i zainteresowanie językoznawstwem w Polsce.

„A czy znasz ty, bracie młody,
Twojej ziemi bujne płody?
Pola bitew — ojców groby
I pomniki starej doby?"

Tak pisał w „Pieśni o ziemi naszej" WINCENTY POL (1807—1872), syn Niemca z Austrii, żołnierz powstania listopadowego, odznaczony Krzyżem „Virtuti Militari". Ogromny wpływ wywarły na niego historia Polski, jej kultura i obyczaje. Na zawsze pozostał pod urokiem polskości. Poezja Wincentego Pola dla wielu pokoleń młodzieży stała się szkołą patriotyzmu.

Największy polski kompozytor FRYDERYK CHOPIN (1810—1849), syn Francuza i Polki, najpiękniej i najmocniej wyraził istotę polskości w muzyce. Był tym, który patriotyzm i nadzieje narodu, krajobraz i pieśń ludową przetworzył w kształt najwyższego artyzmu.

ELWIRO MICHAŁ ANDRIOLLI (1837—1893), o którym pisaliśmy przed dwoma miesiącami, pochodził z rodziny emigrantów włoskich. I on także wrósł, jak tylko można najgłębiej, w rzeczywistość swojej nowej ojczyzny, czego świadectwo złożył w rysunkach, m. in. do „Pana Tadeusza". Są one dla nas najlepszym chyba obrazem polskiej kultury i obyczaju XVIII i XIX w.

Ze spolszczonej rodziny pochodził także JOACHIM LELEWEL (1786—1861), wybitny historyk, nauczyciel, ideolog i działacz niepodległościowy. Jego znaczenie w tworzeniu polskiej szkoły i myśli historycznej było ogromne. Dał pierwszą syntezę dziejów naszego kraju. W czasie powstania listopadowego był członkiem Rządu Narodowego. Na emigracji pracował w niepodległościowych i demokratycznych stowarzyszeniach. Pozostawił dorobek naukowy, który odegrał ogromną rolę w polskim ruchu narodowo-wyzwoleńczym.

Polska zawsze potrafiła być krajem gościnnym. Przyciągała cudzoziemców wielkością tradycji narodowej, urokiem swojej kultury, ciepłem obyczajów i swojskością codziennego życia. Stwarzała przybyszom możliwości rozwoju ich inicjatyw i talentów. Dlatego wszyscy oni w miarę swoich zdolności i sił starali się pracować jak najlepiej dla kraju, który stał się ich ojczyzną, prawdziwym domem. Pozostawili po sobie to, co najlepsze w dziedzinie kultury, sztuki, polityki, działalności społecznej. Choć przyjeżdżali do nas z daleka, tu mijało ich twórcze życie i tu właśnie znajdowali uznanie wdzięcznych gospodarzy.

Janina Datko

100 LAT SAMOCHODU

6

CIEKAWE SAMOCHODY CITROËNA

Zasługi Francuza — André Citroëna dla rozwoju motoryzacji były bardzo duże. Poza tym, że pierwszy w Europie produkował seryjnie, na przesuwającej się taśmie montażowej, samochody, miały one bardzo ciekawą konstrukcję.

André Citroën w swojej fabryce zatrudniał zdolnych inżynierów-konstruktorów, sam był natomiast doskonałym organizatorem produkcji i handlowcem. Jako szef firmy, dbał o pracowników. Organizował im wakacje, zakładał żłobki dla dzieci pracowników. Ludzie chętnie pracowali w fabryce Citroëna, i pracowali dobrze.

Pierwszy Citroën, typ A, z 1919 roku był wytwarzany w kilku odmianach, m. in. z nadwoziem otwartym — jako kabriolet i z nadwoziem wyposażonym w sztywny dach. W latach następnych produkowano inne modele Citroënów, uznawanych za bardzo dobre. Założyciel firmy twierdził, że reklamą pojazdów powinna być ich wytrzymałość w użytkowaniu i solidne wykonanie. Na poparcie tego twierdzenia zorganizował w 1933 roku rajd swojego pojazdu. Na torze wyścigowym pod Paryżem przez 4 i pół miesiąca krążył mały samochód o sportowym wyglądzie — model Citroën 8CV nazwany „Mała Rozalia". Przejechał 300 tysięcy kilometrów uzyskując bardzo wysoką średnią prędkość 93 km/godz. Pobił wszelkie rekordy długodystansowej jazdy.

André Citroën organizował jeszcze inne jazdy wytrzymałościowe dla swoich pojazdów. Wozy Citroëna przemierzały Afrykę i Azję, jechały przez pustynię Saharę, a także azjatyckim szlakiem znanego podróżnika Marco Polo. Aby łatwiej było pokonywać bezdroża, samochody Citroëna typ B2 przystosowano do dalekich wypraw zakładając im zamiast tylnych kół gąsienice — podobne do gąsienic czołgu.

Wozy Citroëna jako pierwsze miały nadwozia bez ramy nośnej i jako jedne z pierwszych na świecie otrzymały w 1934 roku napęd na przednie koła. Zasługą firmy Citroën jest

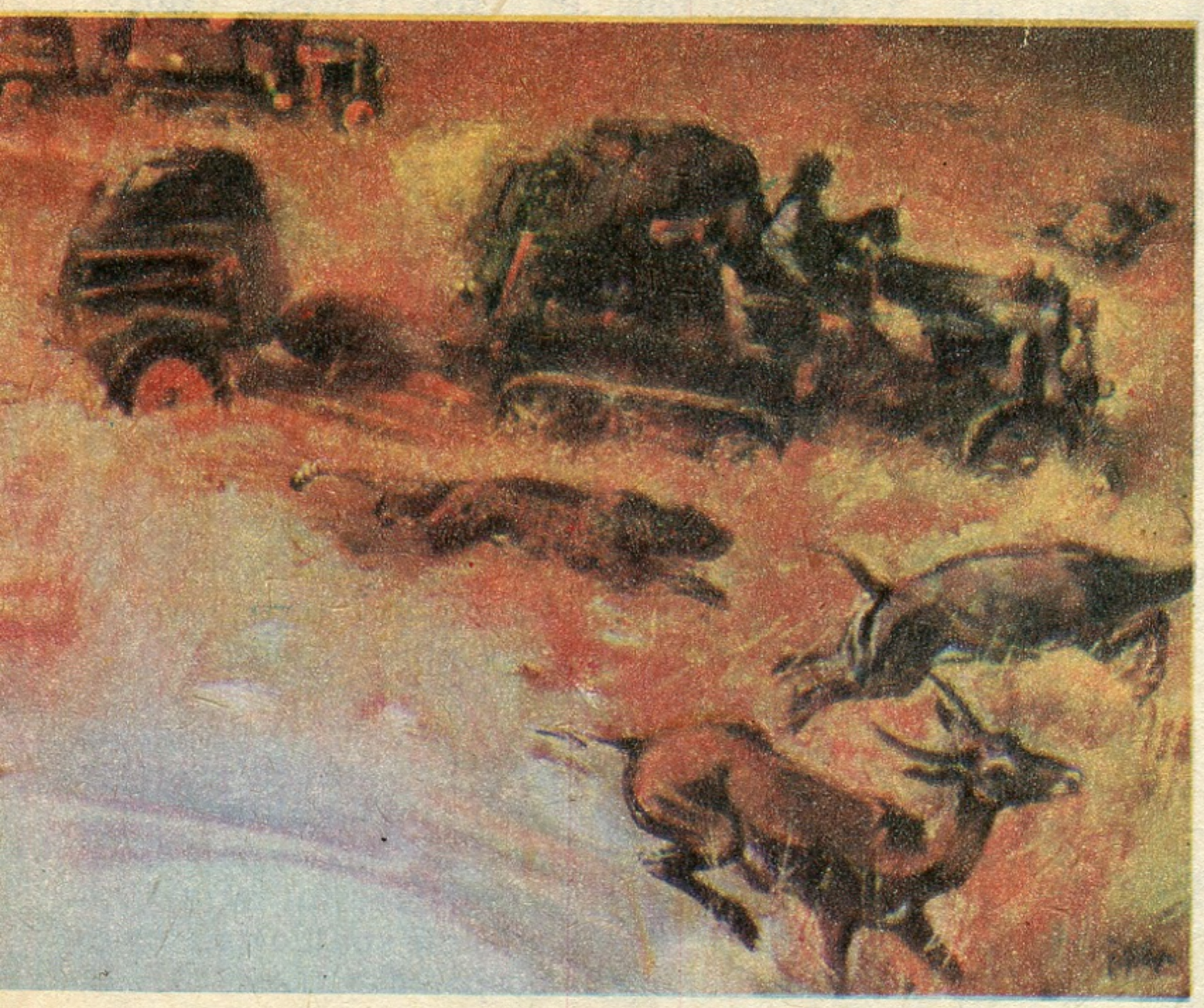

Tak sobie rysownik wyobrażał w 1924 roku rajd przez Afrykę Citroënów z napędem gąsienicowym

wprowadzenie do konstrukcji samochodu oryginalnego zawieszenia kół jezdnych. Składało się ono z gumowych kul wypełnionych płynem i gazem. Jadąc samochodem typu DS-19, wyposażonym w takie zawieszenie, nawet po nierównej drodze, pasażerowie nie odczuwali trzęsienia karoserii. Citroëny DS-19 zastąpione zostały przez nowocześniejsze pojazdy, które również mają doskonałe zawieszenie, zapewniające wygodną jazdę pasażerom.

Mały 2-osobowy samochodzik Citroën 5CV z 1925 roku

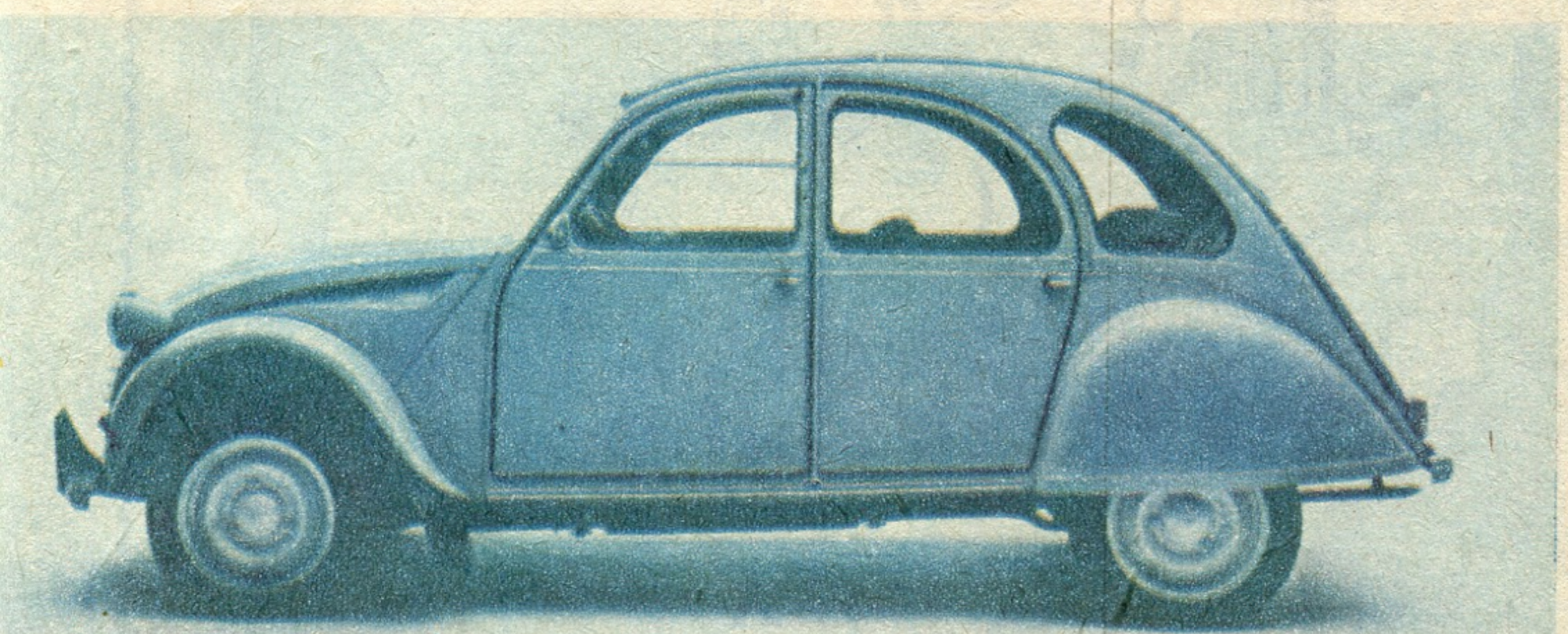

Citroën 2CV nazywany „najbrzydszym samochodem świata", jest na pewno jednym z najlepszych małych samochodów na świecie

Następca słynnego samochodu Citroën DS-19, model CX ma opływowe, aerodynamiczne nadwozie

Niemal legendarnym modelem jest Citroën 2CV. Został on opracowany przed II wojną światową, a jego produkcję rozpoczęto w 1949 roku. Wytwarzany jest do dzisiaj. Oryginalność tego pojazdu polega na prostej, prawie prymitywnej budowie, a jednocześnie na wielkiej wytrzymałości i niezawodności. Poza tym Citroën 2CV jest wygodnym samochodem. Produkowane są trzy odmiany tego pojazdu — bardziej elegancka Dyane, furgon dostawczy i łazik z plastykowym nadwoziem o nazwie Mehari.

Zdzisław Podbielski
Fot. autora i firmy Citroën

Zagadka geograficzna

Na mapce zaznaczono 6 polskich miast. Odgadnij, jakie to miasta i nazwy ich wpisz w puste kratki rozpoczynając od litery E.

Ostatnia litera każdego wyrazu jest równocześnie pierwszą wyrazu następnego.

Litery te są już wpisane w kratki. Litery umieszczone przy rysunkach miast — to pierwsze litery ich nazw.

UWAGA, CZYTELNICY!

W następnym numerze „Płomyczka" wydrukujemy kolejne listy nagrodzone w konkursie „MOJE NAJCIEKAWSZE".

JAKIE TO MIASTA?

Przestawiając odpowiednio litery w każdym z tych wyrazów należy ułożyć nazwy miast polskich.

NAWRÓT		BARAK
	KRÓWKA	
LISZKA		KUTER

Zagadka 1

Spulchnia ziemię...
Aha! Jeszcze
ma początek nazwy
z deszczem.

Zagadka 2

Daszek składa
i rozkłada,
gdy nie pada
albo pada.

ROZWIĄZANIA Z NRU 12

Labirynt literacki: Kochajmy książki (1. Kownacka, 2. Andersen, 3. Lindgren, 4. Pisarski); Zagadka 1: Ty, jeżeli jesteś chłopcem; Zagadka 2: Wkra; Krzyżówka. Poziomo: 2. pożar, 5. stół, 6. obraz, 7. kret, 9. owca, 11. marka, 12. złom, 13. rynna. Pionowo: 1. ster, 2. płot, 3. żuraw, 4. rózga, 7. komar, 8. ekran, 9. oaza, 10. cios.

PŁOMYCZEK

DWUTYGODNIK DLA DZIECI

ADRES REDAKCJI:
ul. Spasowskiego 4,
skr. pocztowa 380
00-950 Warszawa
Tel. 26-27-24

WYDAWCA:
Instytut Wydawniczy
„Nasza Księgarnia"

CENA PRENUMERATY:
kwartalnie — 90 zł,
półrocznie — 180 zł,
rocznie — 360 zł.

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:
Elżbieta Brzoza, Zdzisław Byczek (redaktor graficzny), Tadeusz Chudy (redaktor naczelny), Maria Czernik, Alicja Olszewska (sekretarz redakcji), Stefan Rutkowski (fotoreporter), Władysław Skalny (redaktor techniczny), Teresa Wilk-Białożej

WARUNKI PRENUMERATY:

— osoby mieszkające na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", oraz instytucje z tych miejscowości, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;

— osoby zamieszkałe w miastach oraz instytucje i zakłady pracy w miastach, w których są oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych w miejscu zamieszkania lub siedziby prenumeratora: wpłaty dokonują na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch", używając „blankietu wpłaty".

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

TERMIN przyjmowania prenumeraty:

— do dnia 10 listopada br. na I kwartał, I półrocze oraz cały rok następny;

— do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty w 1985 r.

Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca, Kraków, ul. Wadowicka 8. Papier rotac. 70 g, rola 75 cm, kl. V, I rotogr. 125 g, 86 × 122 cm, kl. V.

Zam. 1569/85 L-6

Nakład 350.000 egz.

INDEKS 36875

FOLKLOR ŚWIATA

Z zainteresowania obyczajami, tańcami i pieśniami przodków zrodziła się u mieszkańców Republiki Litewskiej idea utworzenia własnego zespołu folklorystycznego, jest nim „VALVA". Grupa ta działa w Republikańskim Pałacu Kultury Związków Zawodowych w Wilnie. Członkami „VALVY" są studenci, uczniowie szkół średnich, robotnicy i inteligenci. Połączyła ich miłość do folkloru litewskiego. W celu uzyskania lepszych efektów scenicznych stosuje się stylizację w tańcach i w strojach, natomiast pieśni są bardzo bliskie pierwowzorom. W repertuarze zespołu dominują kadryle i polki, ale są też w nim typowo litewskie tańce, jak „kupolinis", czyli taniec świętojański, „kuginkas" czy też „kłumpakois", czyli taniec w butach drewnianych.

Na naszych zdjęciach: artyści z Zespołu „VALVA" prezentują litewskie stroje ludowe z różnych regionów Litwy. Kierownikiem artystycznym Zespołu jest Grażyna Wajtkiewiczene.

Tekst i zdjęcia: Tadeusz Samborski

CENA 15 ZŁ